

Zofia
Kaczorowska



SINGAPURU



Zofia Kaczorowska

**Gość
z
SINGAPURU**

**Zakład Wydawnictw i Usług Prawniczych
„Jurysta” Spółka z o.o.**

Warszawa 1989r.

Rozdział I

Po pogrzebie Mai wróciłam do domu kompletnie załamana i rozbita. Każda tego rodzaju żałobna uroczystość, w której zdarza mi się uczestniczyć, sprawia że ogarnia mnie skrajny pesymizm, spowodowany uświadomieniem sobie, jak dalece kruche jest ludzkie istnienie i blahe wszystkie sprawy absorbujące nas. Niepotrzebnie przywiązujemy do nich lak wielki) wagę, tracąc przy tym siły i energię.

Ponieważ tym razem w trumnie, pieczołowicie przyklepanej przez grabarzy, znajdowały się zwłoki mojej przyjaciółki, jedynolatki, towarzyszkę przeżyć szkolnych, eskapad studenckich i różnych etapów wieku dojrzałego, wszystkie tego rodzaju doznania, doświadczane przeze mnie na licznych już pogrzebach osób najbliższych, ciotek, wujków oraz znajomych, uległy potężnemu zwielokrotnieniu i wprowadziły mnie w wyjątkowo podły nastrój.

Oczywiście w kącie poszły zadawnione spory z Mają, mniejsze i większe niesnaski i nawet fakt, że nieboszczka w swoim czasie odbiła mi ukochanego, w momencie największego rozkwitu uczuć, a następnie wyszła za niego za mąż. Na sprawy te spadła zasłona zapomnienia, zaś najważniejsze stało się to, iż Mai nie ma już wśród nas żywych. Zresztą patrząc na wyłysiały czubek głowy Jerzego, ongiś szalowego blondyna w nordyckim typie, górującej nad tłumem żałobników, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że moja wielka miłość do niego stanowiła w swoim czasie li tylko wykwit bujnej wyobraźni i egzaltacji wieku młodzieńczego. Prawdopodobnie i on myślał o mnie to samo, nie widzieliśmy się bowiem kilka lat, odkąd wyjechał do Singapuru i zaczął w zawrotnym tempie robić karierę i majątek w tamtejszym przemyśle elektronicznym. Na szczęście, wezwany wieloma depeszami i telefonami, zdążył przybyć w

porę, aby wziąć udział w pochówku żony. Człowiek stawiający z takim rozmachem kroki na arenie międzynarodowego biznesu mógłby, na przykład, nie znaleźć czasu na tego rodzaju imprezę w kalendarzu swoich arcyważnych zajęć.

Nie wiem dlaczego taka złośliwa myśl przysłała mi do głowy, kiedy ściszałam mu rękę składając kondolencje nad grobem Mai, ustawivszy się przedtem w kolejce do wdowca. Obok mnie pchała się i chlipała Renata — wspólna przyjaciółka moja i Mai, z którą wiąże mnie mniej więcej taka sama wieloletnia zażyłość, jak ze zmarłą, osoba posiadająca niesłychaną wprost umiejętność wyprowadzania mnie z równowagi na skutek pewnych, jej tylko właściwych, cech charakteru. Choćby dzisiaj, w trakcie ceremonii żałobnych, bez przerwy wycierała hałaśliwie nos, nie wiadomo czy z powodu wylewanych łez, czy w związku z chronicznym zapaleniem zatok, na które cierpi od dzieciństwa. Oczywiście to nie jej wina, ale tego rodzaju zachowanie może działać denerwująco w obliczu tak doniosłego wydarzenia, jakim jest pogrzeb bliskiej osoby. Poza tym cały czas trzymała się mnie kurczowo, wprost czepiając się spódnicy, jakby w obawie, że przez omyłkę grabarze mogą ją spuścić do grobu.

Renata od wczesnego dzieciństwa siedziała mnie i Mai na karku, co w późniejszym okresie naszej przyjaźni zaczęło odgrywać niepoślednią rolę. W ten sposób bowiem bywała w kręgu naszych znajomych chłopaków i uczestniczyła we wszystkich wspólnych rozrywkach, indywidualnie mając znikome szanse na powodzenie u płci odmiennej. Podejrzewam, że oprócz zatok, chorowała na niedoczynność tarczycy i stąd pochodziła jej nadmierna tusza, ociężałość, a nawet powolność w myśleniu. Nie wiadomo jakim cudem ukończyła farmację i ku zadowoleniu swoich zwierzchników pracuje po dziś dzień w jednej z największych aptek w Warszawie przy fabrykowaniu leków. Prawdopodobnie w laboratorium aptecznym nabrała nawyku ciągłego mycia rąk i wycierania ich w dużą, białą chustkę, co również wywołuje we mnie odruch irytacji.

A jednak całe życie nie mogłyśmy się obejść bez Renaty — ja i Maja. Potrzeba kontaktu z nią weszła nam w krew, a nawet

wykazywana przez nią bezradność i tępota wobec najprymitywniejszych spraw, z którymi się styka na co dzień, stała się normalnym zjawiskiem. Fakt faktem — Renaty zaczynało nam brakować w okresach, kiedy znikwała na pewien czas z horyzontu, choćby z powodu wyjazdu na urlop, czy jakichś spraw rodzinnych. Zdarzało się to jednak bardzo rzadko, gdyż, zgodnie z naszymi przewidywaniami, nie wyszła za mąż, wiecznie szukała z nami kontaktu i grzała się przy naszych ogniskach domowych, jeśli można to tak obrazowo przedstawić.

Nigdy o tym nie myślałam, ale sądzę, że nie potrafiła, nawet w szczytowej fazie rozwoju swoich dziewczęcych powabów, zainteresować sobą jakiegoś mężczyznę. Po prostu cierpiała i cierpi na brak tego, co zwykle się nazywać sex apel i to stanowi chyba największą jej chorobę, na którą nie ma lekarstwa. Snując rozważania o Renacie, na chwilę zapomniałam o śmierci Mai, ale ledwo przekroczyłam próg mego mieszkania świadomość tego, że tak niespodziewanie umarła, że nigdy nie zadzwoni już do mnie, i nie usłyszę w słuchawce jej głosu, uderzyła mnie jak obuchem w głowę.

W obu moich pokojach wyglądało tak, jakby przeleciała przez nie trąba powietrzna. Odkąd dowiedziałam się, że Maja nie żyje, to znaczy od dziesięciu dni, nie wymiotłam ani jednego śmiecia, nie starłam kurzu, przestałam pracować i przyjmować regularnie posiłki. Mój stół kreślarski, zarzucony olówkami, flamastrami, letrasetami, rastrami bez żadnego ładu i składu, świadczył o całkowitym braku zainteresowania z mojej strony zamówionymi przez „Polskie Nagrania” wzorami kopert na płyty, co także potwierdzały świecące pustką sztalugi i poniewierający się po podłodze powiększalnik fotograficzny.

Zdjęłam żakiet w czarno-białą kratę, jedyny ubiór w mojej garderobie pasujący jako tako na żałobne okazje, cisnęłam go na fotel, a sama rzuciłam się na wersalkę, aby choć trochę odpocząć. Dopiero teraz poczułam, jak bardzo jestem zmęczona. Te ostatnie makabryczne dni wypełniała nieustanna bieganina, związana z załatwianiem pogrzebu, zawiadamianiem przyjaciół i znajomych, a przede wszystkim na usiłowaniu

złapania Jerzego w Singapurze. Dopiero za dziesiątym połączeniem telefonicznym udało mi się z nim porozmawiać dzięki pośrednictwu armii urzędników i sekretarek z jego biura. W ten sposób spełniłam swój obowiązek wobec zmarłej. Wydawało mi się, że sucha, lakoniczna depesza, jaką otrzymałam zaraz po śmierci żony, nie może zastąpić choćby kilku słów od zyczliwej jej i bliskiej osoby.

Jak ja to sformułowałam? Obowiązek wobec zmarłej... Pierwszy raz tak pomyślałam o Mai, wykreślając ją z rejestru żywych. A przecież to nieprawdopodobne, wprost niesłychane, że Maja przestała istnieć, że zamurowano ją w grobie i wkrótce zamieni się w garść prochu. Właśnie ona, najżywotniejsza, najweselsza spośród nas trzech, umiejąca czerpać z życia wszystkie jego uciechy, w pełni powodzenia, zawsze żądna mocnych wrażeń i zaspokajająca je bez żadnych skrupułów, zaledwie w trzydziestym ósmym roku życia...

Przymknęłam na chwilę oczy i zaraz w wyobraźni ujrzałam Maję, jasnowłosą, wystrojoną, śmiejącą się niskim, gardłowym głosem, który tak podniecająco działał na mężczyzn, Maję tańczącą, Maję w skoku z trampoliny do basenu, Maję mknącą na nartach w Zakopanem, Maję otuloną nowym futrem z norek. Zaraz... Jak to się stało, że futro to wisi w mojej szafie, zamiast znajdować się w garderobie, w jej mieszkaniu? W obliczu tragedii, która się wydarzyła, zupełnie zapomniałam, że parę dni przed śmiercią Maja dała mi to futro, ni to na przechowanie, ni to do ponoszenia, a właściwie z prośbą, żebym jadąc do Szwecji przekazała je jakiejś pani Indze, jeżeli się po nie zgłosi. Naturalnie zwróćę je Jerzemu, muszę się z nim nawet w tym celu zobaczyć przed jego powrotem do Singapuru. Teraz stanowi jego własność.

Myśl o futrze na chwilę odciągnęła moją uwagę od obsesyjnej wizji śmierci przyjaciółki. Zaledwie dwa tygodnie temu graliśmy u niej w brydża: ona, Renata, Zdzisław i ja. Renata licytowała i rozgrywała jak noga, co bardzo złościło Maję, która okropnie nie lubiła przegrywać. Doszło do tego, że przy spartolonej przez Renatę rozgrywce trzech bez atutu, na wy myślała jej od idiotek, pomawiając o przedwczesną sklerozę i

rozmiękczenie mózgu, co z kolei wywołało u Renaty serię kichnięć, pomieszanych z płaczem. Zdzisław ze swojej strony usiłował rozładować sytuację opowiadając jakiś dowcip z serii „przychodzi baba do lekarza...”, potem oświadczył poważnie — Drogie panie, przecież to tylko zabawa. I wtedy odezwał się gong u drzwi wejściowych. Maja poszła otworzyć i siłą prawie wciągnęła do pokoju bardzo przystojnego cudzoziemca, o brunatnej twarzy i czarnych połyskujących oczach, w szarym, niemal białym ubraniu, od którego fantastycznie odbijała ta jego ciemna skóra.

— Pozwolę sobie państwu przedstawić — powiedziała

— Pan Radziw Khan, mój gość z Singapuru, dobry znajomy Jerzego. Mnie nie potrzebowała go prezentować, gdyż parę tygodni temu natknęłam się na niego u niej. Przyszłam bez uprzedzenia, a on wtedy umknął na mój widok, jak spłoszony zając. Pomyślałam, że to może jakiś nowy amant Mai, wytrzymały przez nią w czasie jej ostatniej wizyty u Jerzego, w Singapurze. Nie byłoby w tym nic dziwnego, ponieważ Maja w czasie mocno przedłużającej się nieobecności męża w Polsce bynajmniej nie żyła jak święta, a ów gość był niesłychanie pociągający, o trochę diabolicznej, ale malowniczej urodzie. Zaraz po jego wyjściu, Maja zaczęła się gorączkowo tłumaczyć, to się nigdy przedtem nie zdarzało, jakoby Radziw przywiózł jej listy i podarki od męża, i że łączą ją z nim wyłącznie handlowe i oficjalne stosunki, co ostatecznie utwierdziło mnie w przekonaniu o całkiem odmiennym charakterze tej znajomości.

Tamtego wieczoru, kiedy ostatni raz widziałam Maję, niespodziewana wizyta Hindusa od razu położyła kres naszej grze w brydża. Maja podała kawę, koniak, fistaszki i daktyle. Rozmowa nie bardzo się kleiła, więc mniej więcej po pół godzinie wyszliśmy wszyscy, pozostawiając Maję samą w jej mieszkaniu.

Zdzisław odwiózł mnie swoim Fiatem 125 P koloru cytrynowego pod dom przy ulicy Antoniego Odyńca, w którym mieszkam, po czym znacząco uściśnił moją dłoń i... od tej pory

więcej się nie odezwał. Po prostu zniknął z mojego życia, tak samo niespodziewanie, jak się w nim pojawił. Co prawda w gorączce ostatnich dni, związanej ze śmiercią Mai, przeważnie nie było mnie w domu, istniała więc możliwość, że zadzwonił i nie zastał mnie. Jednak absolutnie w to nie wierzyłam, gdyż przedtem planowaliśmy wspólny wypad do teatru i do lokalu, który Zdzisław miał potwierdzić na drugi dzień telefonicznie. Ponieważ tego nie uczynił, przeciął naszą małą przygodę, stanowiącą jeszcze jeden niewypał na polu moich podbojów miłosnych.

Poznaliśmy się zupełnie nietypowo, na wernisażu jednego z malarzy średniomłodego pokolenia. Stałam właśnie przed ogromnym płótnem przedstawiającym sportowca, a raczej kulturystę o wyprężonych ramionach, demonstrującego zwoje mięśni pod niebieskozielonkawą skórą. Atletę ten miał twarz wilkołaka, z jednego ucha wyrastały mu dwie palmy, z drugiego natomiast wyskakiwała automatyczna pralka, za to z czubka głowy buchały płomienie, wśród których dumnie sterczała antena satelitarna najnowszego typu.

— Podoba się pani? — usłyszałam koło siebie sympatyczny, głęboki męski głos, należący, jak się okazało, do bardzo wysokiego, szczupłego szatyna około czterdziestki.

— Ogólnie tak, ale za żadne skarby nie mogłabym z tym dziełem spać w jednym pokoju — odparłam.

— Bardzo trafnie to pani ujęła — powiedział poważnie nieznajomy. — Obserwuję panią od dłuższego czasu i nie mogę oprzeć się wrażeniu, że ta ekspozycja nie budzi w pani dodatnich reakcji emocjonalnych. Ponieważ jesteśmy co do tego zgodni, nic chyba nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy się poznali.

— Zdzisław Kamiński — wyciągnął do mnie rękę.

— Sława Grzybowska — uścisnęłam skwapliwie jego prawicę.

Od tej pory zaczął się wcale przyjemny epizod w moim życiu: spotkania w małych zacisznych kawiarniach, przeważnie na Starówce, kilka wspólnie zaliczonych koncertów i najnowszych spektakli teatralnych, dwie, albo trzy wizyty w moim M-3 —

wszystko razem na przestrzeni około sześciu tygodni, a potem ów pamiętny brydż, i koniec.

Maja, przeżywająca właśnie apogeum prosperity finansowej i wzięcia towarzyskiego, opływająca w zagraniczne ciuchy, futra, błyskotki, przebierająca, jak w ulegalkach, w supernowoczesnych modelach video i komputerów, zapłonęła nagle chęcią poznania mojej najnowszej sympatii. W tym celu zorganizowała brydża, choć wybór Renaty na czwartego, przy jej antytalencie do gier karcianych, okazał się absolutnie chybiony. Być może Maja, jak zwykle zachłanna, zapragnęła w skrytości ducha odbić mi adoratora, wystąpiła bowiem w ekscentrycznej czarnej sukni koktajlowej rodem z paryskiego domu mody, przy której moja kimonowa żółta bluzka, specjalnie sprawiona na tę okazję w cichej nadziei, że będzie harmonizowała z kolorem auta Zdzisława, wyglądała jak ścierka do podłogi. Prawdopodobnie osiągnęłaby swój cel, gdyby nagle i niespodziewanie śmierć nie pokrzyżowała wszystkich jej ziemskich planów, gdyż powłóczyście spojrzenia rzucane przez nią na Zdzisława spod przymrużonych wytuszowanych na niebiesko rzęs, spotykały się z aprobowującym odzewem jego stalowoszarych oczu. Zresztą nie mogłam nie zauważyć, jak bardzo chętnie Zdzisław przyjął, za moim pośrednictwem, zaproszenie Mai, jakby poznanie jej stanowiło urzeczywistnienie jego najskrytszych marzeń.

Tamtego wieczoru Maja specjalnie ubrała się na czarno, wiedząc, że w tym kolorze jest jej niezwykle do twarzy, przy białej cerze i złotoblond włosach. W naturze jej leżało bezgraniczne pragnienie podobania się wszystkim mężczyznom na świecie, niezależnie od wieku, nacji i pochodzenia. Czyż mogę mieć jej za złe, teraz, kiedy nie żyje, że chciała również usidlić Zdzisława? Przed laty, z Jerzym, sprawa miała się zupełnie inaczej. Wtedy ugodziła mnie w samo serce, sprawiła, że cały mój dotychczasowy świat runął jak domek z kart. Ale to stało się tak dawno i właściwie w pewnym sensie z mojej winy. Kochałam się wtedy w Jerzym niesamowicie i bez reszty. Chyba wszystkie dziewczyny mogły dostać bzika na jego punkcie,

przynajmniej te, na które raczył spojrzeć łaskawie. Był bowiem smukłym blondynem, o niebieskich oczach, prawie przezroczystych, umiejącym czarować i budzić nieokreślone nadzieje w przedstawicielkach płci pięknej. Poza tym świetnie tańczył, śpiewał, grał na gitarze i właśnie kończył z wyróżnieniem Politechnikę. Chodziliśmy ze sobą kilka miesięcy: ja, szczęśliwa, rozpromieniona, wisząca u jego ramienia, on wpatrzony we mnie ku zazdrości licznych koleżanek, szepczący mi do ucha „czarnulka, dzidziulka, Sławiątko, maleństwo” i inne czułe słówka, w doborze których celował.

W mojej uczelni — ASP właśnie odbywał się bal gałganiarzy — w zatłoczonej sali, przepełnionej młodzieżą przebraną w najcudaczniejsze i najwymyślniejsze kostiumy, panował nastrój pełen podniecenia, spowodowany przyciszoną muzyką i licznie spełnianymi lampkami wina. Tańczyłam z Jerzym, w stroju Cyganki, w różnokolorowych szmatach i chustach, w wielkich klipsach i brzęczących bransoletach, niby wtulona w jego ramiona ale dziwnie niespokojna i rozdrażniona. Jerzy miał na sobie kostium Arlekina, jasnobłękitny, podkreślający kolor jego oczu. Od dłuższego czasu namawiał mnie usilnie, żebym urwała się z nim z balu i poszła na prywatkę. Dobrze wiedziałam, że chodzi mu o spędzenie ze mną sam na sam reszty nocy i mimo całej miłości żywionej do niego, nie miałam na to ochoty. Może byłam zbyt staromodnie wychowana, a może obawiałam się rozczarowania i końca naszej wspaniałej przygody. W każdym razie stanowczo mu odmówiłam, podczas gdy on uparł się, abym go usłuchała i rozmyślnie rozbudzał w sobie złość i niechęć do mnie.

— Nareszcie wiem, że mnie wcale nie kochasz — powiedział nagle ostro. — Gorzko jeszcze pożałujesz swojego zachowania.

— Jeżeli mnie nie chcesz, to ożenię się z pierwszą dziewczyną, która teraz wejdzie na salę głównym wejściem, choćby była brzydka jak noc i ślub nasz odbędzie się za cztery tygodnie. Możemy się założyć, że tak zrobię.

Nie zdążyłam nawet wyrzec jednego słowa, gdy na progu

owych drzwi ukazała się właśnie Maja, z rozpuszczonymi blond włosami, sięgającymi ramion, w fioletowo-czarnej krynolinie, prawdopodobnie wypożyczonej od znajomej aktorki z teatru, cała przysypana złotym pudrem, lśniąca i triumfująca niczym Madame de Pompadour w dobie romansu z Ludwikiem XV. Zarejestrowałam w pamięci spojrzenie Jerzego, którym ją obrzucił, pełne niekłamane zachwyty. Wtedy bezceremonialnie wypuścił mnie z objęć, podbiegł do Mai i z głębokim ukłonem, godnym królewskiego dworzanina, podał jej ramię. Oczywiście zwróciło to na nich powszechną uwagę, a Maja osiągnęła swój cel, gdyż lubiła mieć na każdej zabawie *entree* i dlatego specjalnie się spóźniła.

Potem wszystko potoczyło się w zawrotnym tempie: fajerwerk wielkiej miłości i ślub w zapowiedzianym przez Jerzego terminie. Przez kilka pierwszych lat ich małżeństwa widywali się bardzo rzadko. Jakoś początkowo nie mogłam przestąpić progu ich domu, natomiast Renata przyjaźniła się niezmiennie i z Mają i ze mną. Właściwie dzięki niej nasze stosunki powróciły do normy, tym bardziej, że i ja wyszłam za mąż.

W trzy lata po weselu Jerzego i Mai, już po skończeniu studiów, poznałam u którejś z moich ciotek pana Edwarda Grzybowskiego — ekonomistę, starszego radcę w jednym z ministerstw, „człowieka ze wszech miar godnego szacunku, na którym można polegać” — jak mówiła moja ciotka. Pan Edward miał czterdzieści pięć lat, okazały wzrost i tuszę oraz poza wieloma dodatnimi cechami — niezwykle zaletę, a mianowicie był właścicielem dwupokojowego mieszkania na ulicy Antoniego Odyńca w Warszawie, które dla mnie stanowiło wrota do raj. W tym czasie bowiem dysponowałam jedynie lokalem w Górze Kalwarii odziedziczonym po moich zmarłych rodzicach z serwitutem dożywotniego wspólnego bytowania ze zramolałymi krewnymi — wujostwem po kądzieli.

Oprócz tak materialistycznego podejścia do problemu małżeństwa, uważałam się za istotę ze złamanym sercem, skrzywdzoną przez świat i ludzi, której i tak nic dobrego

niechybnie w życiu nie spotka. W takim układzie pan Edward ze swoim gołęmbim usposobieniem i M-3 wydawał mi się mężem opatrnościowym, w przenośni i dosłownie. Właściwie nie zawiodłam się na Edwardzie. Okazał się dobrym, wyrozumiałym mężem i byłby przyjemnym partnerem w życiu codziennym, gdyby nie męcząca nieśmiałość, która stanowiła naczelną cechę jego charakteru i utrudniała normalny kontakt z nim. Za wszystko mnie przeproszał, dziękował, bał się mnie urazić jakimś nieopatrznym słowem, jakbym uczyniła wielki akt łaski, wychodząc za niego – mężczyznę o dwadzieścia kilka lat starszego od siebie.

Kiedy umarł nagle w biurze na serce, szczerze go żałowałam, ale ponieważ małżeństwo nasze trwało niespełna cztery lata i nie zaowocowało potomstwem, nie przywdziałam wdowich szat i nie zamierzałam uwędzić się w cnocie. Nie wszystko jednak w życiu układa się jak w bajce. Pan Edward pobierał niezłe wynagrodzenie na swoim stołku ministerialnym, ja zaś byłam za młoda, aby zostać rencistką, musiałam więc na serio zająć się grafiką użytkową, zmobilizować swoje wrodzone wdzięki w celu wejścia na rynek jako wykonawczynie różnych wzorów kopert, opakowań dla „Cepelii”, „Pewexu” i innych renomowanych firm, bądź projektantką okładek książek kryminalnych. W życiu prywatnym owszem zaliczyłam sporo flirtów, w tym dwa czule romanse zakończone sromotnym fiaskiem, ale minęło już prawie dziesięć lat mojego wdowieństwa i na razie bez wyraźnych szans na zmianę stanu cywilnego.

Tymczasem Maja kwitła, piękniała i rozwijała ożywioną działalność na polach towarzysko-rozrywkowych. Co prawda nie skończyła studiów, w połowie rzuciła romanistykę, ale po co to całe wykształcenie, kiedy ma się tak zaradnego męża jak Jerzy. Trzy lata temu wyjechał do Singapuru, zaangażowawszy się do pracy u jakiegoś zagranicznego potentata przemysłu elektronicznego. Dlatego Maja nie robiła nic, poza kupowaniem ekskluzywnych strojów, początkowo na „Skrze” i w „Rembertowie”, potem za granicą. Potrafiła jednego roku zaliczyć Paryż i Londyn,

następnie Turcję ze Związkiem Radzieckim, Budapeszt z Wiedniem, porty śródziemnomorskie i *da capo al fine*. W mieszkaniu jej pojawiał się coraz to nowszy i wymyślniejszy sprzęt elektroniczny, na palcach pierścionki, w szafach futra. Ostatnio zmieniła mieszkanie z nowego budownictwa na przedwojenne, z cegły, trzypokojowe na Wilczej. Zgodnie z kanonami obowiązującej mody powierzyła jego wystrój i dekorację jednemu z najlepszych warszawskich scenografów (a nie mnie — Świnia jedna, jeżeli tak można mówić o nieboszczce). Do jednego pokoju zafundowała sobie komplet wypoczynkowy z białej skóry, białe pianino i inne w tym kolorze meble, do drugiego dla odmiany czarną skórzaną kanapę, ustawioną na środku z takimiż fotelami. Ostatnio nabyła używanego mercedesa w dobrym stanie na giełdzie i parcelę w Podkowie Leśnej, na której Jerzy jako „powracający” miał wybudować coś w rodzaju średniowiecznego zamczyska, tylko że z luksusowym, nowoczesnym wyposażeniem. Jednym słowem brakowało jej przysłowio-
wego ptasiego mleka. I taką oto osobę przed dwiema godzinami złożono do grobu na cmentarzu Powązkowskim. Jerzy, co prawda, od dawna nie przyjeżdżał do Warszawy, za to Maja odwiedzała go kilkakrotnie, wracając zawsze z masą wrażeń i nowymi zasobami finansowymi. W Polsce nie nudziła się wcale w czasie nieobecności męża, dziwił mnie trochę jej dość swobodny tryb życia, ale najwidoczniej małżonkowie udzielili sobie wzajemnie *carte blanche*.

Kilka tygodni temu Maja zatelefonowała do mnie z samego rana i poprosiła, żebym ją odwiedziła. Lubiła chwalić się świeżo zakupionymi sukienkami i precjozami, jak małe dziecko zabawkami. Tym razem z garderoby, zainstalowanej w ścianie korytarza, wyjęła nowe futro z beżowych nerek, lekko cieniowanych brązem.

— Podoba ci się? — zapytała. — Prawda, że fantastyczne?

— Proszę cię przymierz! — i nie pytając o zgodę, zarzuciła mi je na ramiona. Poczułam się jak modelka, jeżeli nie od Cardina czy Diora, to przynajmniej od Lafayette’a. Patrząc w lustro musiałam przyznać, że jest mi w nim do twarzy.

Czarne włosy świetnie odbijały od koloru futra.

— Wiesz co? — Maja uśmiechnęła się, jak to ona, zmrużywszy oczy. — Ponoś je trochę. Ja mam jeszcze dwa futra z norek, a wczoraj wykupiłam jenoty od kuśnierza.

— Coś ty zwariowała? — obruszyłam się. — Nie lubię cudzych rzeczy i dlaczego miałabym je nosić?

— Po prostu sprawisz mi przyjemność — znów uśmiech ozdobił jej twarz — a jeśli umrę, zostaną ci w spadku po mnie. Kiedyś odbiłam ci chłopaka, należy ci się mała rekompensata. Te słowa przypomniały mi się z całą wyrazistością i sprawiły, że usiadłam gwałtownie na wersalce. Nie pomyślałam ani razu o tamtej rozmowie, zbagatelizowałam ją. Czyżby oznaczała przecucie rychłej śmierci?

— Gadasz głupstwa — powiedziałam wtedy ze złością.

— Pamiętaj jedno: jeżeli chcesz żyć ze mną w zgodzie, nie powinnaś nigdy wracać do tamtych spraw, rozumiesz?

— Zgoda, nie złość się, przecież żartuję — odpowiedziała już po swoim. — A co do tego futra, to naprawdę weź je do siebie. Nie mam gdzie go trzymać. Muszę znów przebudować wnękę w ścianie. Stolarz ją kompletnie spartolił. I wiesz co, zabierz te norki ze sobą do Szwecji. Jeśli zgłosi się do ciebie Inga Lunston, pamiętaj — Inga Lunston, to jej oddaj. Mam z nią pewne rozrachunki, a jeśli się nie zgłosi, to opędzłuj w jakimś Butiku na Odengatan. Podobno są warte trzydzieści pięć tysięcy koron. Dla ciebie połowa.

— Znów się wygłupiasz. Jakże mogłabym handlować twoim futrem. Ale jeżeli tego naprawdę chcesz, mogę je chwilowo przechować.

Istotnie wybierałam się do Sztokholmu, od dwóch miesięcy zaproszenie leżało na biurku. Mieszkała tam jedyna siostra Edwarda, która koniecznie chciała mnie poznać. Absolutnie nie uwierzyłam w historię o braku miejsca w garderobie, gdyż mogłaby służyć za stajnie dla kilku koni wierzchowych, ale zrozumiałam, że Maja, z jej tylko znanych względów, pragnie futro ukryć przed Jurkiem, który jakoby w najbliższym czasie

zamierzał przyjechać do Warszawy.

Te wszystkie rozmyślania i wspominki plus potworne zmęczenie spowodowały, że zasnęłam niespodziewanie, ze strzępem jakiejś myśli w głowie jeszcze nie przyobleczonej w słowa. Nagle w uszy moje wwiercił się głos Mai natarczywy i donośny, lak dalece autentyczny, jakby siedziała obok mnie na wersalce.

— Wstawaj oślico i idź szukać mojego mordercy! — Czyżbyś do tej pory nie zrozumiała, że zostałam zamordowana, zamordowana... To ostatnie słowo, powtarzane jak na pękniętej płycie, przemieniło się w szept. Zerwałam się zlaną zimnym potem. Upłynęło parę sekund zanim pojęłam jasno, że Mai nie ma i nie może być obok mnie, gdyż parę godzin temu zamurowano ją w grobie rodzinnym na Powązkach.

Wrażenie było tak silne, że pobiegłam do kuchni napić się wody, aby wrócić do jakiej takiej równowagi. Przy okazji łyknęłam kieliszek koniaku, zagryzłam kilkoma słonymi paluszkami i doznałam olśnienia. Maja nie zeszła z tego świata w sposób naturalny — to oczywiście! Została zgładzona w perfidny sposób przez nieznanego sprawcę. Że też do tej pory nie przyszło mi to do głowy. Dopiero głos we śnie musiał objawić mi tę brutalną prawdę. Naturalnie nie wierzyłam w duchy. To nie Maja zawiadomiła mnie o swojej tragicznej śmierci, ale najwidoczniej podejrzenie takie od początku kiełkowało w mojej świadomości, aby w czasie tej mojej krótkiej drzemki ostatecznie nabrać realnego kształtu. Usiadłam w kucki na dywanie, to jest w pozycji najdogodniejszej do prawidłowej pracy mojego mózgu i zaczęłam intensywnie myśleć, zbierając w całość różne informacje, stanowiące cząstki tej zawilej łamigłówki.

Po pierwsze, Maja była piekielnie zdrowa, całe życie mogła wszystko jeść i pić jak dorożkarz. Ostatnio, co prawda, parę razy skarżyła się na bóle głowy, ale od tego się nie umiera. Po drugie, na ogół nikt tak dobrze nie wygląda przed samym zgonem, nie flirtuje i nie usiłuje odbić chłopa koleżance, chyba że mu ktoś skutecznie pomoże do zejścia z tego świata.

Według orzeczenia lekarza, potwierdzonego aktem zgonu, śmierć nastąpiła na skutek ustania akcji serca, w dwie godziny po naszym wyjściu z jej mieszkania. Ale dlaczego akcja serca ustała, tego ten lekarz nie powiedział. Zresztą zwłoki zostały znalezione w trzy dni później, przez listonosza, który przyniósł jej list polecony, dzwonił kilka razy do drzwi, a potem zauważył, że są niedomknięte, pchnął je i wszedł do środka. Po upływie takiego czasu trudno jest ustalić godzinę śmierci. Tyle wiadomości z dziedziny kryminalistyki posiadam na podstawie licznie przeczytanych książek sensacyjnych, do których projektuję okładki.

Sąsiadka Mai, moja dobra znajoma, natychmiast zawiadomiła mnie o jej śmierci. Całe szczęście — gdyby tego nie zrobiła, nie wiem, kto zająłby się pogrzebem. Wiem, że milicja zainteresowała się nagłym zejściem młodej kobiety, bo przyjechała specjalna ekipa i zbierała odciski palców. Musiało ich tam być tysiące, gdyż Maja przyjmowała u siebie pół Warszawy. Przeprowadzono też sekcję zwłok, które wydał, celem pochówku Zakład Medycyny Sądowej, ale jeżeli nic podejrzanego nie wykryto, to sekcja ta została spatalaszona. Ona nie mogła umrzeć śmiercią naturalną — teraz stało się to dla mnie oczywiste i jasne jak słońce. W jaki sposób ją ukatrupiono i kto to zrobił, tego nie wiedziałam, ale przysięgam, nadal siedząc w kucki na dywanie, że muszę wykryć tego bandziora. Jest przecież tysiąc różnych sposobów zgładzenia człowieka bez zostawiania widocznych śladów — choćby jakaś wschodnia trucizna wprowadzona do organizmu przy użyciu sztyletu, cienkiego jak igła. Tylko kto mógł tego dokonać? Poczulałam wstrząs, jakby prąd elektryczny przeszywał mnie od stóp do czubka głowy. Istnieje przecież tajemniczy człowiek wschodu

— Radziw Khan, gość z Singapuru. Odwiedził Maję tego wieczoru, kiedy umarła. Co prawda wyszedł z jej mieszkania razem z nami, ale czyż nie mógł potem wrócić, aby dopełnić od dawna planowaną zbrodnię? Na pewno już zdążył czmychnąć z Polski, szczęśliwy, że nikt nie wpadł na jego trop. Nie wiadomo z jakich pobudek działał. Może kochał się w Mai do szaleństwa, a ona go nie chciała, albo

zamierzał ją sprzedać do jakiegoś domu publicznego w chińskiej dzielnicy?

Czułam, że popuszczam zbyt wiodze swojej fantazji i takie spekulacje myślowe mogą mnie zaprowadzić na manowce.

W końcu sprawcą mordu mógł być każdy inny znajomy, albo były wielbiciel Mai, któremu zależało na zgładzeniu jej ze świata. W mieszkaniu na Wilczej znajdowała się masa cennych przedmiotów, ogromna ilość biżuterii. Nie wiadomo, czy jednocześnie nie dokonano kradzieży na wielką skalę. Zastanawiające, że organy bezpieczeństwa tak docieklive w innych sprawach, przeszły nad śmiercią Mai do porządku dziennego i uznały jej zgon za naturalny, bez dokładnego zbadania sedna sprawy. Ani ja, ani Renata nie zostałyśmy nawet wezwane na przesłuchanie. Widocznie wszystko wskazywało na śmiertelny zawał serca. A jednak nie mogłam uwierzyć w taką wersję zgonu. Ten dziwny gość z Singapuru wyglądał mi stanowczo na zbrodniarza. Być może milicja nic nie wie o jego istnieniu. Zdecydowałam, że muszę wkroczyć do akcji, upoważnia mnie do tego wieloletnia przyjaźń ze zmarłą. I nawet wiedziałam, jak do tego przystąpię. Znałam pewnego majora z Biura Kryminalnego Komendy Głównej MO. Był kolegą szkolnym Edwarda i nawet kilka razy nas odwiedził. Oczywiście znajomość ta zakończyła się wraz ze śmiercią mojego męża, ale nic nie stało na przeszkodzie, aby ją odnowić i powołać się na dawne, dobre czasy.

Pokrzepiona tą myślą, wstałam z kucek zupełnie odrętwiała i poszłam do kuchni zaparzyć sobie herbatę, ale kiedy pochyliłam się nad palnikiem, ogarnęło mnie tyle wątpliwości, iż poczułam zawrót głowy. A jeśli to nie ów Hindus zamordował Maję, a ktoś z kim przez pewien czas czułam się trochę związana. Bałam się o tym pomyśleć i nawet wypowiedzieć jego imię, ale zjawiało się natrętnie w moich myślach. Co właściwie wiem o Zdzisławie? Prawie nic. Tylko tyle, że jest inżynierem, pracuje w jakimś biurze projektów, stan cywilny – rozwiedziony, bezdzietny... To niby dużo, ale... Nie wiadomo zresztą czy te dane znajdują pokrycie w prawdzie, równie dobrze mogły zostać

sfabrykowane, nawet imię i nazwisko. Nigdy nie usiłowałam sprawdzić wiarygodności jego oświadczeń, nie telefonowałam do miejsca pracy, ani do domu. Nasza znajomość trwała zbyt krótko, nie zaszła nigdy potrzeba, abym do niego dzwoniła, gdyż w jego ręku zawsze spoczywała inicjatywa wspólnych rozrywek. Czy to nie podejrzane, że słuch o nim zaginął po wizycie u Mai? Może to on powrócił do niej po pożegnaniu ze mną i sprzątnął ją z tego świata?

A w takim razie czy ja, dysponując w zasadzie tak wątpliwymi poszlakami, mam prawo postawić któremuś z nich tego rodzaju zarzut? Samo przypuszczenie, że mogłam przez sześć tygodni przebywać w towarzystwie mordercy, być może sadysty i zbrojczy, przyjmować go u siebie w charakterze adoratora, przyprawiło mnie o uczucie słabości, przejawiające się w dziwnym zwiótczeniu nóg.

Natychmiast jednak otrząsnęłam się z tego stanu, nawymyślałam sobie od tchórzliwych idiotek i postanowiłam rozpocząć działanie.

Przede wszystkim, choć to wcale nie będzie przyjemnością, muszę zobaczyć się z Jerzym, aby mu oddać futro z norek i przy okazji wypytać o Radziwa Khana. Niewątpliwie to również jego znajomy, skoro Maja poznała go w Singapurze. Ponadto udam się natychmiast do majora Jakuba Serwicza i podzielę się z nim moimi spostrzeżeniami. Jeśli mnie wyrzuci — to niech się dzieje wola Nieba. W każdym razie spełnię swoją powinność. Nie mogę dopuścić, aby łotr, który wykończył Maję, żył na wolności. W tej chwili wprost rozsadzało mnie pragnienie rozpoczęcia energicznych czynności śledczych. Jednocześnie też pomyślałam o Renacie. Nie mogę pozwolić jej się byczyć w tej sytuacji, kiedy ja będę miała ręce pełne roboty. Niech nie pozostaje w błogiej nieświadomości tragedii na ulicy Wilczej. Przecież Maja była też jej serdeczną przyjaciółką, kto wie czy nawet nie bliższą niż ja. Mimo swojego matołectwa, może mi się przydać, choćby jako siła robocza i wykonawczyni różnych poleceń. Nie

wiedziałam jeszcze na czym owe rozkazy będą polegały i czy w ogóle zajdzie potrzeba ich wydawania przeze mnie. W każdym razie wystukałam numer telefonu Renaty. Odezwała się takim głosem, jakby od czterech tygodni chorowała na grypę.

— Renata, wytrzymaj nos i słuchaj uważnie. Musisz zaraz przyjechać do mnie. Mam ci coś niesłychanie ważnego do powiedzenia.

— Kiedy nie mogę teraz. Właśnie robię pranie...

— Też wybrałaś stosowną porę, wyłącz pralkę i przyjdź jak najprędzej. Sprawa nic cierpi zwłoki.

— Ojej, czy nie można jutro? Namoczyłam wszystkie majtki.

— Z tobą można zwariować. To przyjdź bez majtek i tak ci nikt nie będzie zaglądał. Tylko prędko!

— Jejku, przecież się zaziębię. Powiedz chociaż o co chodzi!

— To rozmowa nie na telefon, ale skoro chcesz koniecznie, to słuchaj: Maja nie umarła śmiercią naturalną, ona została zamordowana. Słyszysz z a m o r d o w a n a !

W słuchawce zapanowała cisza. Widocznie Renata przy swoim wolnym myśleniu długo przetrawiała tę wiadomość. Dałam jej milczeć przez minutę, dłużej nie mogłam. — Jesteś tam czy zemdlałaś?

Najpierw potężne kichanie omal nie rozerwało mi bębienka, potem odezwał się zduszony głos. — W jaki sposób się dowiedziałaś?

— Powiem ci osobiście. Musimy wspólnie ułożyć plan strategiczny. Chyba chcesz, żeby złapano zabójcę Mai?

— Pewno, że chcę. To ja już lecę.

Musiała przyjechać taksówką, bo nie upłynęło piętnaście minut, a już stała na progu mojego mieszkania w berecie zsuniętym na czubek głowy i niedopiętych pantoflach. Skojarzyła mi się z cieleciem, prowadzonym na ubój, które urwało się swojemu oprawcy z postronka. Miała zbieleiałe wargi i trzęsące się ręce. Zrobiło mi się jej żal, nie wiedziałam, że aż tak się przejmie. Jednak co znaczy w życiu przyjaźń od szczeniących

lat.

— Nie trzeba było się aż tak spieszyć, Mai i tak już nic nie pomoże — powiedziałam uspokajająco, zdając sobie jednocześnie sprawę, że w uszach każdego człowieka mój telefon musiał zabrzmieć jak wezwanie na Sąd Ostateczny. W ten sposób mogłam stracić drugą przyjaciółkę na zawał serca.

— Wypij herbatę i odpocznij chwilę — poklepałam ją po ramieniu gestem dodającym otuchy.

Przełknęła tylko parę łyków, tak jej szczykały zęby. — No to powiedz wreszcie, jak to się stało? — wystękała i wyciągnęła swoją nieodłączną białą chustkę do nosa.

— Maja nigdy nie chorowała, prawda — zapytałam ją, choć wiedziała o tym równie dobrze jak ja.

— Tak — przytaknęła. — Ale to nie dowodzi, że...

— Wiem co chcesz powiedzieć: każdego człowieka może niespodziewanie szlag trafić. Tak, każdego, ale nie ją. Ona po prostu zanadto kochała życie. Pamiętasz, jakie zabójcze spojrzenia rzucała na Zdzisława? Czy ktoś się tak zachowuje na dwie godziny przed śmiercią? Znów powiesz, że to także nie dowód. A ja ci mówię: ona została zabita. Ktoś wrócił do jej mieszkania, żeby ją załatwić. Mógł to być Zdzisław, albo ten wściekle przystojny Hindus Radziw. Obydwaj są jednakowo podejrzani, ja jednak posądzam Radziwa.

— A dlaczego miałby to zrobić?

— W tym właśnie sęk. On do niej często przychodził, kiedyś przyłapałam ich na czułym *tete a tete*. Wyglądali jak przyłapani na gorącym uczynku.

— Ee, chyba nie myślisz, że Maja zdradzała Jerzego?

— w głosie Renaty zabrzmiało święte oburzenie.

— Nie udawaj skończonej idiotki. Kiedy tak głupio mówisz, gotowa jestem cię znienawidzić.

— Ale posłuchaj, przecież w akcie zgonu lekarz napisał, że Maja umarła na serce.

— Tak zawsze się pisze, ale przyczyna zgonu może być całkiem inna. Ten Radziw mógł ją otruć jakąś nieznaną, niewykrywalną trucizną, albo ukłuć zatrutym szpikulcem.

— Ee, wiesz co, ty mnie nabierasz. Myślałam, że to prawda, przyleciałam prawie goła, a ty tu mi takie rzeczy opowiadasz-

— Renata wyglądała na naprawdę złą. — Iw ogóle czy ten Hindus zamordowałby Maję akurat wtedy, kiedy urzędowała brydża i widziało go u niej tyle osób? Nie mógłby zrobić tego całkiem ukradkiem?

— Renata, ty się stajesz cholernie inteligentna, a to mi się zupełnie nie podoba. Co ty wiesz o psychice takie Azjaty? Nikt inny tamtego wieczoru, o tak spóźnionej porze, nie składałby jej wizyty. W każdym razie to mało realne. Nie wiemy, jakie łączyły Maję z tym Hindusem więzy. Na parę dni przed brydżem mówiła o swojej śmierci. Ty sobie wyobrazasz — Maja i takie myśli. Widocznie czuła się zagrożona. Zresztą, moja droga, jeśli nie chcesz mi pomóc, to pal cię sześć. Sama sobie poradzę.

— No to co ja mam robić? — Renata już pogodziła się z losem.

— Na razie nic, tylko bądź w pogotowiu, jak zajdzie potrzeba — zaraz dam ci znać. Wtedy będziesz musiała rzucić w diabły te swoje piguły, wziąć urlop, czy coś w tym rodzaju.

— Kiedy ja w tym roku wykorzystałam cały urlop wypoczynkowy...

— To powiedz im, że masz świnkę, albo zapalenie migdałów. Chyba możesz trochę pogłówkować raz w życiu.

— Sława, nigdy nie wiem czy ty mówisz poważnie, czy żartujesz. I w ogóle nie posądzałam ciebie o zdolności detektywistyczne.

— Ty jeszcze mnie nie znasz. Jak dobrze mi pójdzie — to postaram się o licencję zawodowego detektywa i zmienię zawód.

— To już tak marnie zarabiasz jako graficzka — zatroskała się Renata. — Ale ty pewnie znów robisz ze mnie wariatkę. To ja

już pędzę do domu, bo mi naprawdę trochę od dołu zimno. Czekaam na wiadomość, możesz na mnie liczyć.

Rozdział II

Nazajutrz z rana zadzwonił Jerzy.

— Dzień dobry Sławo — powiedział starannie wymodulowanym głosem.

— Czy znalazłabyś dla mnie trochę czasu? Chciałbym z tobą omówić pewne sprawy.

— Widocznie to telepatia, bo w tej chwili myślałam o tobie. Ja również muszę z tobą porozmawiać.

— Więc dobrze się składa. Czy mógłbym wpaść do ciebie za godzinę?

— Proszę bardzo. Czekam.

Skończyliśmy rozmowę po wymianie obustronnych grzeczności, jak para dobrze wychowanych ludzi. Pośpiesznie oczyściłam w pokoju dywan, wyglądający jakby przeszedł po nim tabun dzikich koni, ustawiłam fotele wokół ławy, upchnęłam do szuflad w regale rozrzucone po kątach fragmenty moich rysunków, następnie kolczasty wiecheć o fantastycznych kształtach powędrował do glinianego dzbana i pokój przybrał zupełnie przyzwoity, a nawet miły dla oka wygląd. Moje dwupokojowe mieszkanie, choć niewielkie, miało funkcjonalne wyposażenie i różne urządzenia służące ku wygodzie mieszkańców (w tej chwili jedynej mieszkanki — to jest mnie), dzięki niesłychanej inwencji i zapobiegliwości Edwarda. Na przykład między pokojem a przylegającą doń kuchnią, wykuł w murze okienko, przez które mogliśmy jedno — drugiemu podawać potrawy, bez potrzeby biegania przez korytarz, przy czym zrobił to tak przemyślnie, że można było je zasuwąć i rozsuwać, maskując otwór deszczułką pokrytą identyczną, co na ścianach tapetą. Oczywiście usprawnienie to miało zastosowanie wówczas, kiedy w mieszkaniu żyły we wspólnocie rodzinnej co najmniej dwie osoby. Obecnie używałam go raczej przy okazji przyjmowania większej liczby gości. Dziś zostawiłam niedostrzegalną szparę w ścianie i włączyłam w kuchni magnetofon.

Dla pewności lepiej mieć zarejestrowane na taśmie zwierzenia żałobnego wdowca — pomyślałam. Nie można wykluczyć, że to on sprzątnął Maję, jeśli nie osobiście, to choćby wynajmując płatnego mordercę, takiego Radziwa Khana.

Podjęcie takie, zaiste, mogło się wylać tylko w mojej zapaskudzonej wyobraźni, zważywszy na rajskie życie, jakie wiodła Maja u boku Jerzego. Jednak nie mogłam wykluczyć i takiej ewentualności.

Jerzy zjawił się punktualnie, z pięcioma bladoróżowymi gerberami w dłoniach, w granatowym garniturze oblekającym już nieco zaokrąglony brzuszek, widoczny mimo wysiłków pierwszorzędneho krawca. Musiałam jednak stwierdzić, że był nadal przystojnym, dbającym wielce o swój wygląd mężczyzną w średnim wieku, choć bezpowrotnie przysł urok jego spojżenia, tak skutecznie ognił czarującego kobiety.

— Siadaj — zaprosiłam płynnym ruchem, wskazując fotel.

— Czy napijesz się kawy?

— Chętnie, jeżeli ci to nie sprawi kłopotu. Pomknęłam do kuchni po dwie filizanki tego płynu i przy okazji uruchomiłam magnetofon. Na razie poruszyliśmy parę obojętnych tematów nie związanych z osobą Mai, wreszcie nie wytrzymałam i zapytałam.

— Czy mogę ci być w czymś' pomocna, Jurku? Wiem, że śmierć Mai to dla ciebie bolesna strata, aleja odczuwam ją nie mniej głęboko, niż ty. Przede wszystkim muszę ci oddać futro z norek, które należało do Mai. Życzyła sobie abym je trochę ponosiła, a potem zabrała ze sobą do Sztokholmu i oddała jednej znajomej Szwedce. Teraz, po jej śmierci, nie wchodzi to w grę. Pozwolisz, że najpierw załatwimy tę sprawę — poderwałam się z miejsca.

Jerzy wykonał nieokreślony ruch ręką, jakby pragnął odgonić nękającą go muchę. Chwilę milczał, wreszcie powiedział uroczystym tonem: — Słuchaj Sławo, muszę ci coś wyznać. Być może to co ci powiem zaskoczy cię, ale chciałem sprawę postawić otwarcie i nie bawić się z tobą w niedomówienia. Małżeństwo moje z Mają praktycznie od dwóch lat nie istniało. Co prawda formalnie nie przeprowadziliśmy rozvodu, ale

żyliśmy jak para obcych sobie ludzi, absolutnie nie związanych uczuciowo, ani finansowo. Sama więc rozumiesz, że nie przyjmę tego futra od ciebie, gdyż nie ja go Mai sprawiłem. Możesz go spokojnie zatrzymać jako spadek po przyjaciółce.

— Jak to? — otwierałam usta ze zdziwienia. — Maja nic mi nie mówiła, że między wami coś złego się dzieje. Odwrotnie, zawsze opowiadała mi z przejęciem o twoich sukcesach i gigantycznych zarobkach. Miała bez przerwy masę forsy. Ostatnio kupiła mercedesa i parcelę pod Warszawą. Twierdziła, że po powrocie z Singapuru wybudujesz na niej co najmniej pałac, albo zamek warowny.

— To do niej podobne — mania błyszczenia i chwalenia się przed ludźmi. Nie patrz na mnie ze zgorzaniem. Wiem, że o zmarłych nie powinno się mówić źle, ale tak wyglądała prawda. Już od wielu lat zrozumiałem, że związek nasz to omyłka i błąd młodości. Dopóki byłem w Polsce, utrzymywaliśmy fikcję wzorowego małżeństwa, choć ja już wielokrotnie myślałem o rozwodzie. Po moim wyjeździe nastąpił całkowity rozpad. Dobięły mnie słuchy o jej zachowaniu w Polsce, przekraczającym granice przyzwoitości. Nie jestem purytaninem i na wiele rzeczy postanowiłem patrzeć przez palce, ale w końcu nie miałem zamiaru łożyć na utrzymanie różnych żigolaków — ostatnie słowa wypowiedział pompatycznym tonem, dowodzącym jak dalece niestosowne zachowanie Mai zraniło jego męską dumę. W oka mgnieniu przypomniałam sobie pewnego modrookiego chłopczyka Jarka, którego Maja hołubiła przez pewien czas nie szczędząc mu łask.

— Rozumiesz więc — ciągnął Jerzy, że zdecydowałem się sprawę przeciąć. Nie chciałem grać roli żałosnego rogowca z komedii Moliera. Ona przyjęła to ze spokojem, pędziliśmy zatem osobne życie.

— Ale przecież kilka razy odwiedzała cię w Singapurze, stale pokazywała różne prezenty od ciebie, dostawała paczki, szastała pieniędzmi.

— Możesz mi wierzyć, że od dwóch lat nie otrzymała ode mnie ani grosza. Nie miałem wobec niej żadnych

obowiązków, była zdrowa, mogła pracować, nie urodziła dziecka. Owszem, jeden raz przyjechała do mnie przed naszym ostatecznym zerwaniem, pozostałe jej pobyty w Singapurze nie miały nic wspólnego z moją osobą. Na pewno zawarła tam liczne znajomości, teraz dużo turystów z Polski odwiedza Singapur.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy powiedzieć Jerzemu o swoich podejrzeniach, ale jakiś instynkt, czy głos wewnętrzny ostrzegł mnie przed tym. Jeżeli istotnie nic go z Mają nie łączyło, kwestia w jaki sposób zesła z tego świata, nie odegra dla niego większej roli i nie wywoła w nim reakcji emocjonalnych, polegających na pragnieniu wykrycia sprawcy. A zresztą w tym stanie rzeczy, Jerzy niewątpliwie doszłusował do kręgu potencjalnych morderców. Może związał się już z jakąś egzotyczną pięknoscią i pozbył się w zdradziecki sposób niewygodnej żony, bez potrzeby przeprowadzania rozwodu? Wobec tego zapytałam, najobojętniej jak umiałam, mimo szalejącego we mnie podniecenia: — Czy znasz Radžiwa Khana, mieszkańca Singapuru?

No, jeżeli to jest ten płatny morderca, który wykończył Maję, to Jerzy musiałby mieć nerwy ze stali, gdyby moje pytanie nie zrobiło na nim wrażenia. Tymczasem wcale nie wyglądał na zaszokowanego. Przez sekundę zastanawiał się, może szukając w pamięci skojarzenia z jakąś znaną mu osobą, ale zaraz odparł:

— Nie, nie przypominam sobie. To nazwisko często się powtarza, ale nie wśród moich znajomych. Dlaczego pytasz?

— Tak sobie. Po prostu Maja mi go niedawno przedstawiła.

— Słowo — Jerzy przeszedł nad tą informacją do porządku dziennego. — Jeszcze nie powiedziałem ci z jaką prośbą do ciebie przychodzę — mówiąc to, wyciągnął z marynarki pęk kluczy i potrząsnął nimi, aż głośno zabrzęczały. — To od mieszkania Mai. Wręczyła mi je podczas swojego ostatniego pobytu w Singapurze. Przyszła do mnie do biura i zakomunikowała, że sprzedała nasze wspólne mieszkanie

(czego nie miała prawa zrobić) i kupiła nowe, dużo większe, z myślą o nas dwojgu. Widocznie miała jednak nadzieję, że do niej powrócę. Oczywiście natychmiast rozwiąłem jej iluzję co do kontynuowania naszego pożycia. Wtedy roześmiała się beztrząsco i powiedziała, że tak czy inaczej, w razie jakiegoś przyjazdu lub powrotu do Polski mogę z niego korzystać i w nim zamieszkać. Ja jednak nie przestąpiłem progę tego domu, stworzonego przez Maię pod moją nieobecność i bez mojej zgody. Nigdy nie mógłbym uważać go za mój własny. Obecnie zatrzymałem się w hotelu „Forum”, ale już jutro muszę wracać do Singapuru. Proszę cię, żebyś zajęła się likwidacją osobistych rzeczy Mai, a jeżeli chcesz, to i mebli. Wiem, że miała ogromną garderobę, suknie, futra i inne rzeczy osobistego użytku. Po prostu nie chciałbym i nie mógłbym na nie patrzeć. Nie stanowią mojej własności i nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy powoduje nim miłość, czy nienawiść do zmarłej i doszłam do wniosku, że jedno i drugie.

— Co więc mam z nimi zrobić?

— Weź sobie, daj część Renacie, albo biednym. Podobno Maja miała jakieś kuzynki w Tarnowie, jedyne krewne. Może one się zgłoszą? Zresztą zrób co chcesz, nawet wyrzuć do śmieci.

Staralam się ukryć przed Jerzym błysk pożądania, jaki bez wątpienia zapłonął w moich oczach na widok tych kluczy. Czulaam, że mając wstęp do mieszkania Mai, zrobię milowy krok na drodze do wykrycia sprawcy morderstwa. Wszak każdy przestępca wraca na miejsce zbrodni. Może i ten wpadnie w potrzask prędzej, niż się tego spodziewa. Ponadto, kto wie, czy w lokalu na Wilczej nie znajduje się jakiś przedmiot lub dokument, który stał się bezpośrednią przyczyną śmierci Mai. Może ukryła coś tak cennego w swoim mieszkaniu, że przeplącała to życiem? Właśnie taki motyw zbrodni nasunął mi się błyskawicznie w toku rozmowy z Jerzym. Ponieważ wdowiec, jako patologiczny okaz megalomana, zaczął działać

mi na nerwy, postanowiłam nieco zmącić jego stoicki spokój i pewność siebie.

— Moim zdaniem, postępujesz zbyt pochopnie odrzucając spadek po Mai — powiedziałam z niewinną miną. — W końcu jesteś jej legalnym spadkobiercą, masz do niego wszelkie prawo. Maja miała wspaniałą biżuterię, masę pierścionków, bransolet, wisiorków, przedstawiających obecnie ogromną wartość. Możliwe, że przechowywała ją w mieszkaniu. Będę w kłopotliwym położeniu jeśli ją tam znajdę. Ostatecznie w jakiś sposób trzeba będzie tym zadysponować. Szkoda też, że nie obejrzałeś mieszkania, urządziła je wspaniale: kanapy, fotele obite białą i czarną skórą, żyrandole z brązu, amfory, wazy z chińskiej porcelany. Poza tym niedawno kupiła wspaniałego mercedesa, który do tej pory stoi bezużytecznie na podwórku domu na Wilczej. Niepotrzebnie kierujesz się urażoną ambicją, w końcu cały ten majątek przepadnie.

Na gładko wygolonym licu Jerzego zaczęły się malować mieszane uczucia, gdyż w gruncie rzeczy mieszkała w nim duszyczka groszoroba, łasego na wszystkie dobra doczesne, czego najjaskrawszym wyrazem była wyprawa po złote runo do Singapuru.

— No tak, ale widzisz... — zaczął niepewnie.

— Rozumiem ciebie — przerwałam energicznie, nie dając mu tak szybko zrejterować z zajmowanego przed chwilą stanowiska — Maja wszystko nabyła po waszym zerwaniu, kiedy już nie dawałeś jej pieniędzy. Tak, to bezsprzecznie poważny argument. Podziwiam twoją lojalność. Jak myślisz, skąd miała forszę? Przecież nigdzie nie pracowała, a zresztą normalne zarobki nigdy by nie starczyły na pokrycie takich wydatków.

— Nie mam pojęcia — mruknął zgodnie z prawdą, gdyż nie mógł stracić twarzy.

— A może zaoszczędziła podczas trwania waszego małżeństwa?

— Raczej nie, żyła rozrzutnie, nigdy nie odłożyła ani grosza, zdobył się na szczerłość.

— Wobec tego miała na pewno bogatego przyjaciela — oświadczyłam obserwując z satysfakcją złość malującą się na jego wyniosłym dotąd obliczu. — To zdecydowanie przesadza o słuszności twojego rozumowania. — Jednak pozwolisz, że przy świadkach sporządzę spis ruchomości i innych walorów znajdujących się w mieszkaniu. To tak na wszelki wypadek, gdybyś zmienił zdanie, czemu bym się wcale nie zdziwiła. W tym momencie błyskawicznie złapałam klucze, które nadal trzymał w ręku.

*

— Serdecznie witam, pani Sławo — powiedział pułkownik Jakub Serwicz wstając zza biurka. — Bardzo się cieszę, że panią widzę. Mimo upływu wielu lat od naszego ostatniego spotkania, nie zmienił się prawie wcale, poza tym, że z majora awansował na pułkownika i że skronie jego przyprószyła siwizna, czyniąc go interesującym starszym panem. Mocno uścisnął mi rękę i wskazał miejsce naprzeciw siebie. Tak przyjacielskie powitanie znacznie podniosło mnie na duchu i pomogło trochę przemóc niepokój, jaki zaczęłam odczuwać, przekroczywszy próg centralnej siedziby organów bezpieczeństwa.

— Co panią do nas sprowadza, pani Sławo? — spytał pułkownik, widząc moją niepewną minę. Mimo, iż prosiłam telefonicznie o przyjęcie mnie w ważnej sprawie, trema w zastraszący sposób utrudniła mi formułowanie myśli. Serwicz przyzwyczajony do fizjonomii rozlicznych przestępców, nie mógł nie zauważyć mojego zdenerwowania i podsunął uprzejmym gestem paczkę papierosów. — Bardzo proszę.

— Dziękuję, nie palę — przełknęłam ślinę. Ten dobrze mi ongiś znany z gruntu towarzyskiego człowiek, teraz na tle swojego gabinetu, w mundurze, budził we mnie paraliżujące wprost onieśmielenie.

— Chyba nie boi się mnie pani, Sławo? Mam nadzieję, że nie popełniła pani żadnego przestępstwa — zażartował.

— Nie — wybuchnęłam, ale przyszłam zawiadomić o zbro-

dni dokonanej na osobie mojej przyjaciółki, zmarłej w tajemniczych okolicznościach w swoim mieszkaniu w Warszawie, przy ulicy Wilczej, a której śmierć została uznana przez Milicję Obywatelską za naturalną.

Na twarzy Serwicza najpierw pojawiło się zdumienie, a potem wyraz skupienia i powagi. — Jak nazwisko denatki? — zapytał.

— Maja, to jest Maria Bożyniecka, zamieszkała przy ulicy Wilczej 88a m 5.

— Dlaczego uważa pani, że została zamordowana?

— Pan nie znał Mai, ona nie mogła sobie ot lak umrzeć, ni z tego ni z owego, miała nadzwyczajne zdrowie. Tamtego wieczoru przed śmiercią wyglądała świetnie i doskonale się czuła. Graliśmy u niej w brydża: ja, ona, Renata, nasza wspólna przyjaciółka, i mój znajomy Zdzisław — zaczęłam mówić chaotycznie, bez ładu i składu. Czując to, nagle urwałam.

— Proszę dalej — zachęcił pułkownik. — To bardzo interesujące.

— I wtedy przyszedł ten Hindus z Singapuru — Radziw Khan, okropnie podejrzane indywiduum. Już kiedyś go u niej widziałam. Cały czas patrzył się na nas spode łba, widocznie czekał, aż wszyscy wyjdziemy i Maja zostanie sama. Nie, to nie tak było — natychmiast sprostowałam. — Początkowo nawet nie chciał wejść do pokoju, kiedy zobaczył, że Maja ma gości, bo mu to pokrzyżowało zbrodnicze plany. Potem wyszliśmy wszyscy razem z mieszkania Mai, ale on musiał tam zaraz wrócić po to, aby ją zamordować. Mógł to również zrobić Zdzisław, ale to mało prawdopodobne. Widział ją tego wieczoru po raz pierwszy i w ogóle nie wyobrażam sobie jego w roli mordercy.

— Kto to jest Zdzisław? — przerwał mi pułkownik.

— Ach, to jeden mój znajomy — coraz bardziej czułam się zmieszana i chyba zdradliwy rumieniec, zupełnie niestosowny w moim wieku, wypłynął mi na policzki. — Maja bardzo chciała go poznać i zaprosiła, za moim

pośrednictwem, na brydża. Co prawda to dziwne — od tamtego wieczoru się nie odezwał, ale on nie byłby zdolny do popełnienia zbrodni. Po prostu w to nie wierzę. Wszystko wskazuje na tego Khana.

— Ale dlaczego?

— To dziwny typ, mógł szantażować Maję, kochać się w niej, wyłudzać pieniądze. Zresztą nie wiem czego od niej chciał, to są tylko moje przypuszczenia. Maja poznała go w Singapurze, na pewno ich coś łączyło. Widocznie musiał się jej pozbyć, żeby ratować własną skórę. Wiem, że gadam głupstwa, ale czuję, że to on ją wykończył. Na parę dni przedtem Maja mówiła o śmierci, ona, która tak kochała życie, lubiła się bawić, stroić. Znów przerwałam, ale pułkownik skinął głową, jakby na znak aprobaty. — Proszę, proszę, słucham...

— Więcej właściwie nie mam nic do dodania. Chciałabym tylko, żeby zbrodniarz poniósł zasłużoną karę i Maja została pomszczona. Tymczasem w akcie zgonu lekarz stwierdził, że śmierć nastąpiła na skutek ustania akcji serca, a więc w sposób naturalny, dlatego przyszedłem prosić pana o wszczęcie śledztwa w tej sprawie, ekshumowanie zwłok i zbadanie przyczyny zgonu.

Wydało mi się, że na ustach pułkownika pojawił się lekko dostrzegalny, pobłażliwy uśmiech.

— A jaką bronią, według pani, posłużył się przestępca?

— Tego nie wiem, ale myślę, że musiała to być nieznana trucizna, wprowadzona do organizmu bez pozostawiania wyraźnych śladów.

— To ciekawa koncepcja. A teraz pozwoli pani, że podsumuję wszystkie pani oświadczenia. Zgłasza pani pretensje do organów ścigania, że zbyt szybko uznały śmierć obywatelki Marii Bożynieckiej za naturalną i sugeruje pani, że została ona skrytobójczo zamordowana bezpośrednio po spotkaniu towarzyskim z pani udziałem. Niedwuznacznie wskazuje pani mordercę, a nawet dwóch potencjalnych morderców: Zdzisława X i niejakiego Radziwa Khana, przybyłego z Singapuru, ale jak mi się wydaje, wołałaby

pani w skrytości ducha, aby zbrodniarzem okazał się gość z Singapuru — w tym momencie wyraźny uśmiech przemknął po twarzy pułkownika.

— Otóż droga pani Sławo, na moim biurku leżą właśnie akta sprawy dotyczące nie wyjaśnionych okoliczności śmierci Marii Bożynieckiej. Śledztwo jest w toku.

Poczułam zawrót głowy, wydało mi się, że krzesło wraz ze mną zapada się pod ziemię.

Zauważył to Serwicz. — Co pani jest? — Strasznie pani zbladła, proszę napić się wody. — Naprawdę denatka miała w pani oddaną przyjaciółkę. — Pytanie tylko, czy to w pełni doceniała. — Czuje się już pani lepiej?

— Tak, zupełnie dobrze. Po prostu ogromnie mnie pan zaskoczył, pułkowniku.

— Podziwiam pani intuicję i odwagę, jednak chciałbym, żeby pani tak nie uzewnętrzniała swoich uczuć i zatrzymała tę wiadomość wyłącznie dla siebie. — Czy mi pani to przyrzeka?

— Skinęłam potakująco głową.

— Proszę o to nie tylko ze względu na dobro śledztwa, ale ze względu na pani osobiste bezpieczeństwo. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo jest pani zainteresowana ujęciem przestępcy, ale należy pamiętać, że śmierć Marii Bożynieckiej stanowi pewną zagadkę. Próbując ją rozwiązać, może się pani poważnie narazić, a ja nie zawsze będę mógł pani pomóc. Morderstwo to mogło zostać popełnione wyłącznie z pobudek osobistych przez nieznanego dotąd sprawcę, jak również przez zorganizowaną grupę przestępczą. Pani przyjaciółka prowadziła bardzo ożywioną działalność, często, jak się wydaje, nie pozostającą w zgodzie z kodeksem karnym. Dlatego niezbędne jest całkowite odcięcie się przez panią od tej sprawy.

— Jednak, czy pozwoli mi pan współpracować ze sobą?

— Gdybym spotkała kogoś, albo zauważyła coś, co może okazać się pomocne przy śledztwie...

— Uparte z pani stworzenie, Sławo. — Wolałbym, żeby

pani w ogóle się w tę historię nie mieszała, ale jeśli zdobędzie pani jakąś ważną informację, albo poczuje się bezpośrednio zagrożona, proszę się natychmiast ze mną skontaktować.

Rozdział III

Klucze cicho zgrzytnęły w zamku. Choć już wiele dni upłynęło od śmierci Mai, w jej mieszkaniu nic się nie zmieniło. Nadal wszystko tutaj pozostawało przesiąknięte jej osobowością, w powietrzu unosił się nawet utrwalony zapach egzotycznych perfum. W sypialni – wielkie, białe łoże w kształcie koła nęciło połyskliwą pościelą, na krzyczącym czerwieniu dywanie leżały niedbale porzucone ranne pantofelki z puszystymi pomponami, kruche krzeselka i pufy wyglądały tak, jakby przed chwilą odsunęła je niecierpliwa ręka właścicielki. W ściennych szafach drzemały kreacje z zagranicznych domów mody: suknie na wszelkie okazje, żakiety, kostiumy, wdzianka, spodniemy, łącznie z dopasowanymi do nich barwą pantoflami i torbami. Kiedy rozsunęłam jedną z szaf, owionął mnie ten sam przenikliwy, duszący zapach perfum, przedostający się przez szpary do mieszkania. W pozostałych dwóch ogromnych pokojach znajdowało się mnóstwo waz, amfor, kielichów z kolorowego, cienkiego szkła, umieszczonych w zaskakujących, najmniej oczekiwanych punktach od podłogi do sufitu. Na idealnie białych ścianach uderzały w oczy plamy płócien renomowanych, współczesnych mistrzów pędzla. Nie brakowało też nieodzownego w takim pomieszczeniu kominka w metalowej, fantazyjnej obudowie i ukochanej przez wszystkich posiadaczy noworestaurowanych wnętrz – boazerii, zdobiącej długi korytarz.

Na tle tego urzędnika, stanowiącego konglomerat stylów różnych epok, imponująco przedstawiały się zestawy sprzętu elektronicznego, od miniaturowych wyrobów przemysłu japońskiego, do amerykańskich gigantów. Kilka półek z mahoniowego drzewa wypełniały wideokasety.

Słońce wpadało przez okna przysłonięte koronkowymi, białymi firankami, spływającymi w dół spienionymi falami. Przez chwilę wydało mi się, że usłyszę zaraz dźwięczny, charakterystyczny śmiech Mai i ona sama ukaże się w wykuszu zastępującym drzwi, aby uraczyć nas serią ciekawostek i nowinek z wielkiego świata. Tymczasem jednak przywitała nas głucha cisza.

— Właściwie co my tu będziemy robić? — zapytała Renata, rozsiadając się na białej, skórzanej kanapie, w najbardziej reprezentacyjnym pokoju.

Ta dziewczyna miała naprawdę niesłychaną zdolność ciągłego wyprowadzania mnie z równowagi. Pod wpływem jej słów prysnął natychmiast niezwykle nastrój panujący w tym opustoszałym domu. Czułam, że muszę ją zwymyślać. — Siac pietruszkę i kopać ziemniaki.

— Czy nie dotarło do twojej mózgownicy, że musimy sporządzić spis inwentarza znajdującego się w tym mieszkaniu na prośbę pana Jerzego Bożynieckiego? Szacowny wdowiec uważa za plamę na swoim honorze przestąpienie tego progu, zbeszczeszczonego przez swoją niegodną połowicę. Tak naprawdę — to guzik mnie obchodzi, ile Maja miała futer, sukien i pierścionków i jaki z tego użytek zrobi Jerzy. Moim zdaniem może tu być ukryta jakaś niesłychanie cenna rzecz, na przykład klejnot hinduskiego maharadży, albo worek z dolarami. Przez taki skarb pewnie Maja zginęła. Ten paskudny Singapurczyk widocznie chciał go Mai odebrać, na razie ją straszył, terroryzował, a kiedy to nie poskutkowało, zamordował.

— No to nie mamy czego szukać. Na pewno on już tę rzecz zabrał.

— Z tobą można oszaleć. Przecież mordercę ktoś spłoszył, może wracający nocą sąsiad, który pomylił mieszkania, albo nawet przypadkowy pijaczek. Listonosz po trzech dniach zastał drzwi wejściowe przymknięte. Zbrodniarz najwyraźniej działał w popłochu, uciekał w obawie, że go nakryją.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — zdziwiła się Renata.

— Najlepiej jakbyś się do niczego nie wtrącała. Sam pułkownik ci mówił, że to niebezpieczne.

— A ciebie już tchórz obleciał, zanim jeszcze kiwnęłaś palcem. I powierzyć tu takiej tajemnicę śledztwa. Ja jednak w takiej sytuacji, nie pozostanę bezczynna. Milicja na razie też nie wie nic konkretnego. Jeżeli będą mogła przyczynić się do wykrycia mordercy, bądź pewna, że to zrobię, a ty możesz wracać do swojej apteki.

— Ojej, czego zaraz krzyczysz. Przecież widzisz, że chcę ci pomóc. Nawet dostałam zwolnienie lekarskie na zapalenie wyrostka robaczkowego, który mi wycięto, kiedy miałam siedem lat. Tylko powiedz mi chociaż, dlaczego sądzisz, że Maja ukryła tu jakiś skarb?

— To jasne jak słońce. Musiała należeć do jakiejś szajki, może nawet do międzynarodowego gangu. Między nami mówiąc — to niemożliwe, żeby ją obsypywał złotem jakiś miliarder, czciciel jej wdzięków. Przecież miała już dobrze pod czterdziestkę i to raczej ona dokarmiała różnych młodzieńców, którzy jej wpadli w oko. Manna też sama nie leci z nieba, a wszystkie te cacka zdobyła po tym, jak Jerzy z nią zerwał i przestał jej dawać forszę. Czerpała więc dochody z jakiegoś nieznanego źródła, pewno niezbyt legalnego, chyba, że znała zakłęcie otwierające sezam.

— To oni ze sobą zerwali — Maja i Jerzy? — wybełkotała Renata dziwnie zmienionym głosem.

— Co tak wybałuszasz gały? Dlaczego to ciebie obchodzi, teraz po jej śmierci? Uważałaś ją za chodzącą świętość, nie możesz się pogodzić z upadkiem jej rodzinnego szczęścia?

Ponoć Jerzy dowiedział się o jej grzeszkach i tak dalece uraziło to jego miłość własną, że wypowiedział jej posadę żony, na razie bez sądowego epilogu. Jak to, kobieta stanowiąca własność takiego supermena, ośmieliła się spojrzeć na innego faceta — to uwłaczało ambicji pana i władcy. No, ale już dość gadania, bierzmy się do roboty. Jeżeli myślisz, że dam ci leniuchować, to się bardzo mylisz. Najpierw poszukamy tego łupu, a potem spiszemy fatalaszki i cały dobytek w obecności sąsiadki Mai — pani Aldony Gruszeckiej, żeby uroczy Jerzy

nie posądził nas o zabór jego mienia. Co prawda wielkodusznym gestem pozwolił mi rozporządzić się nim według swojego uznania, łącznie z wyrzuceniem do śmieci, ale wolę się zabezpieczyć na wypadek, gdyby mu potem co innego strzeliło do głowy.

— Jakiego łupu mamy szukać? — zapytała Renata rozpaczliwym tonem, jakby za chwilę miano ją spalić na stosie. — Co ty znów wykombinowałaś?

— Naprawdę mam dość kładzenia ci wszystkiego łopata do głowy. Przecież przed chwilą ci tłumaczyłam, że Maja prawdopodobnie zaplątała się w jakieś ciemne interesy. Może wspólnie z Radziwem ukradli obraz Van Dycka, albo Koh-i-noora i ukryli w tym mieszkaniu, żeby przeczekać, aż sprawa przycichnie i Interpol przestanie się nimi interesować, a potem ten Hindus, chcąc zagarnąć wszystko dla siebie zabił Maję. To takie trudne do zrozumienia?

— Czy sądzisz, że jest w to zamieszany Interpol? Chyba się mylisz. Słyszałam, że Koh-i-noor znajduje się w koronie królowej brytyjskiej. Na pewno by zauważyła, że czegoś w niej brakuje. Nie taka znów z niej gapa.

— Ale za to z ciebie i to do setnej potęgi. Słuchaj, jeśli nie przestaniesz gadać takich głupstw, za chwilę wyskoczę przez okno. Jak tyś skończyła tę farmację? W końcu to też wyższe studia. Koh-i-noora wymieniłam tylko przykładowo, a może to być tysiąc innych rzeczy, ale na pewno o bezcennej wartości na rynku światowym. Poza tym zbrodniarz zawsze wraca na miejsce przestępstwa. Takie już jego nędzne przeznaczenie, że coś go do tego korci i przez to najczęściej wpada w ręce policji.

Od niepamiętnych czasów takie zjawisko zaobserwowali kryminolodzy. Myślę, że i tu się sprawdzi. No, ale nie marnujmy czasu. Zaczynamy od tego pokoju. Renatę nagle napadło kichanie, a potem nastąpiło staranne wycieranie nosa chustką wielkości niemowlęcego prześcieradła. W reszcie zapytała bojaźliwie — ale nie masz zamiaru rozwalić tych ścian i wrywać wszystkich klepek z podłogi? To by może za długo trwało.

— Tylko gdyby zaszła istotna potrzeba — uspokoiłam ją z poważną miną. — I tak jest tu wystarczająca ilość zakamarków. Maja sama remontowała to mieszkanie i na pewno specjalnie wyposażyła je w najrozmaitsze zakamuflowane schowki. Czeka nas gigantyczna praca.

Renata ciężko westchnęła, jako że przy jej pokaźnej tuszy każdy wysiłek fizyczny nie należał do życiowych przyjemności, a ja zaczęłam od opukiwania ścian i przeglądania szaf.

Upłynęły dwie godziny żmudnych poszukiwań, ale na razie bez pozytywnych rezultatów. Na próżno stukiałam w każdą cegłę i deskę, żadna nie wydawała głuchego, specyficznego odgłosu, świadczącego o tym, że znajduje się pod nią tajemnicza skrytka. Właśnie klęczałam na posadzce, ogołoconej z chińskiego dywanu i obmacywałam deszczułkę po deszczułce, przykładając po kolei ucho. kiedy Renata zawyła z drugiego pokoju, gdzie dokonywała podobnych czynności.

— O rany! W tej komóдке wszystkie szuflady są zapchane biżuterią. Chodź zobaczyć!

Oderwałam się od swojej pracy, gdyż kobieca ciekawość jest silniejsza od innych uczuć i zerwałam się z kucek. Rzeczywiście nieboszczka Maja mogła śmiało otworzyć filię „Jubilera”. Takiej ilości pierścionków, bransolet, łańcuchów, razem nagromadzonych, nigdy jeszcze nie widziałam. Istotnie mogły zachwiać najbardziej odporną na sprawy materialne psychikę ludzką. Złoto wypełniało szczelnie wszystkie szuflady, rozsadzając je niemal połyskiem różnokolorowych kamieni.

— No to już mamy poszukiwania z głowy — oświadczyła z niejaką dumą Renata, przypisując sobie chwałę tego odkrycia.

— To na pewno ten skarb, o którym mówiłaś.

Chwilę jeszcze trwałam w milczeniu, taksując wzrokiem dobra doczesne Mai. — Głupiaś! — powiedziałam niemal uroczystym tonem. — Temu zbrodniarzowi nie mogło o to chodzić. Przyznaję, że te świecidełka mają u nas ogromną wartość, ale nie w Singapurze, a nawet w Turcji. Oczywiście i dla stu złotych mordowano ludzi. Każdy pospolity oprych nie oparłby się pokusie zaszlachtowania bliźniego, aby zdobyć

take precjoza, mówię każdy, ale nie Radziw Khan. Dla niego to mięta, sam ma niewątpliwie dużo więcej. Najlepszy dowód, że niczego nie tknął.

— Sama mówiłaś, że uciekał w popłochu, więc może nie zdążył? — zaprotestowała piskliwie Renata.

— Zdążyłby jeszcze upchnąć w kieszenie, czmychając, inny bandzior by to uczynił. Ta komoda wygląda na zupełnie nie tkniętą. To mnie jeszcze bardziej utwierdza w przekonaniu, że sprawcą zbrodni jest nasz Hindus. Jego działanie — to przemyślana i wyrafinowana gra o milionowe krocie w zielonych. Przyjrzyj się dobrze tym kamykom. To w gruncie rzeczy same tandetne wyroby, jakich pełno na wschodnich bazarach. Taki singapurski zbrodniarz ma je w nosie. Zamknij te szuflady i bierz się dalej do roboty. Spiszemy ich wartość o obecności Aldony i gospodarza domu, ale nie teraz, dopiero jak zakończymy poszukiwania. I zaczęłyśmy na nowo opukiwać ściany, penetrować szafy i schowki, dłubać w podłogach. Znalazłyśmy kilkanaście tuzinów kiecek, mnóstwo futer sztucznych i szlachetnych, kopy par butów, mogących wypełnić półki w niejednym sklepie obuwniczym, ale ani śladu ukrytego skarbu, ani nawet sejfu otwieranego za pomocą magicznego szyfru

Po kilku godzinach „orki”, z czołem zroszonym potem, zupełnie bezsilna i wykończona, straciłam niemal wiarę w swoją intuicję i upadłam na duchu. Renata bumelowała jak tylko się dało. Bez przerwy oznajmiała, że kona z pragnienia i nastawiała sobie w kuchni wodę na herbatę i kawę, którą piła wolno i z namaszczeniem. Potem oświadczyła, że ma chory pęcherz w związku z czym co dziesięć minut latała do toalety i rozwodziła się nad wytwornością i zaletami tego przybytku: glazurą, tapetami i kolorem sedesu. A wszystko to po to, żeby jak najmniej pracować i zwalić na mnie całą robotę, w konsekwencji czego — zziajana jak psiak w upalny dzień, runęłam na czarną, skórzaną kanapę i straciłam poczucie wpływającego czasu.

Nagle rozległ się melodyjny dźwięk gongu, mający tę właściwość, że mógłby śmiało obudzić umarłego z wieczystego snu.

— Idź, otwórz — kiwnęłam na Renatę. — Ja już nie mogę się ruszać. Po kilku minutach szamotaniny z łańcuchami i zamkami Renata wpadła jak bomba z powrotem do pokoju. Wyglądała strasznie: z wywróconymi białkami, rozdziawionymi z przerażenia ustami i rozwianymi włosami, których nie zdążyła przyczesać.

— Zwariowałaś? — zapytałam nie wstając z miejsca.

— On tam jest. Przyszedł... — wystękała, z trudem łapiąc oddech.

— Kto przyszedł? Mów po ludzku.

— Ten Hindus, Radziw...

— A mówiłam! Zawsze tak bywa! Poczekaj, już ja z nim porozmawiam. Nie pozwolę mu tak odejść. Zerwałam się z kanapy, czując, że momentalnie wracają mi nadwątlone siły.

Radziw Khan w białym eleganckim ubraniu, błyskając ślepiami w swojej nieprzyzwoicie przystojnej twarzy, stał w drzwiach z jedną nogą w sieni, a drugą w przedpokoju, jakby wahał się czy przekroczyć próg mieszkania.

Spojrzałam na niego wyzywająco spod przymrużonych powiek. Niech wie łajdak, że się go nie boję. Ciekawe co teraz zrobi.

Nie wywarło to na nim większego wrażenia, gdyż ani jeden mięsień nie drgnął na jego wygolonym licu.

— Dzień dobry, chciałem widzieć pani Maja — powiedział łamaną polszczyzną.

Bezczelny! Zaczął z takiej beczki, jakby nic się nie stało. Uroczy gość z Singapuru po prostu odwiedza swoją znajomą, którą zakatrupił kilka tygodni temu. Na pewno chciał sprawdzić, czy mieszkanie jest puste, aby nocą włamać się na pewniaka i wykraść skarb. Jednak ten skarb musi być tutaj ukryty, gdzie go u licha ta Maja wsadziła? Różne myśli błyskawicznie przelatywały mi przez mózgowicę, zakończone wnioskiem, że jeżeli Khan zaryzykował głowę i powrócił do Polski, to sprawa musi być naprawdę poważna.

— Czy pani Maja zastacz w domu? — zapytał tymczasem uprzejmym tonem i przyjrzał mi się bacznie.

Trzeba przyznać, że nie traci, jucha zimnej krwi. Umie łącać jak z nut. Udaje, że nic nie wie o śmierci Mai, ale mnie nie przechytrzy. Ja też potrafię kłamać bez zajknięcia.

Ustroiłam moją twarz w jeden z najpowabniejszych uśmiechów, wypróbowanych na osobnikach płci męskiej. — Pani Maja wyjechała, ale niedługo wróci. Może zostawi pan swój adres lub telefon, to zaraz po powrocie się z panem skomunikuje.

Chwilę milczał, widocznie nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.

— Pani powiedzciez, że ja mieszkacz w ta sama miejsca co zawsze, w hotelu „Extrapol”. Ona już wiedziecz. Łypnął białkami, skinął głową i zawrócił błyskawicznie na pięcie. Kroki jego głośno zadudniły na schodach.

Renata czekała na mnie blada i spocona z wrażenia.

— Czego on chciał? — zapytała, niemal dygocąc. — O czym tak długo z nim rozmawiałaś?

— Ja, moja twoja mieć — odpowiedziałam, wprawiając ją w jeszcze większe zakłopotanie. — Nie, ja nie zwariowałam. To tylko przykład polszczyzny, jaką posługuje się ten Radziw Khan. Czy ty wiesz, że on nie stracił rezonu ani na mój, ani na twój widok. Spokojnie zapytał o Maję, którą przecież własnoręcznie zamordował. I nie poprzestanie na ,tym, zobaczysz, że będzie chciał się tu włamać. Muszę natychmiast porozmawiać z pułkownikiem Serwiczem. To niesłychane! Taki bandzior chodzi spokojnie na wolności! W każdej chwili mogą paść z jego ręki następne ofiary.

Renata dostała czegoś w rodzaju drgawek. — To może my już damy temu wszystkiemu spokój, jak myślisz?

— Figa z makiem. Tak łatwo nie ustępuję z pola walki.

Rozdział IV

Już w sieni usłyszałam dźwięk telefonu, wydzwaniający sygnał miarowo i uporczywie. Widocznie ktoś od dawna chciał się ze mną połączyć i nie zrezygnował, mimo że nikt nie

podnosił słuchawki

— To ja — usłyszałam znajomy głos, dobiegający jakby z oddali i przez to nieco zniekształcony. — Mam nadzieję, że jeszcze poznajesz mnie. Sławo.

— Zdzisław? — zapytałam trochę z niedowierzaniem i serce zabiło mi żywiej, choć od razu skarciłam się w duchu za to pensjonarskie zachowanie.

— Tak, witaj Sławo. Chciałem cię przeprosić za długie milczenie, ale wynikło ono nie z mojej winy. Niestety w życiu nie wszystko układa się po naszej myśli. Kiedyś, być może, wiele ci wytłumaczę. Czy nie gniewasz się na mnie?

Jeszcze jeden tajemniczy gość, pomyślałam. Mówi same komunały, ale jednak fajnie, że się odezwał.

— Skądże, dlaczego miałabym się gniewać? To byłoby śmieszne.

— Zdaję sobie sprawę, że zachowałem się jak ostatni gbur, powinienem się przynajmniej usprawiedliwić, albo uprzedzić, że nasze ostatnie planowane spotkanie nie może dojść do skutku. Nie będę ci teraz podawać powodów, dlaczego tak się stało. To przy innej okazji. Powiedz jak się czujesz i co porabiasz?

— Wiesz chyba, że Maja nie żyje? — powiedziałam krótko i z zapartym oddechem przeczekałam kilka sekund na jego reakcję, gdyż w słuchawce zapanowała nagle cisza.

— Przyznaję, że jestem zaskoczony tą wiadomością. Co jej się stało? Wyglądała przecież na całkiem zdrową tamtego wieczoru.

— Podobno zmarła na serce, a to każdemu może się zdarzyć

— skłamałam swobodnie, mając na uwadze zaleconą mi przez Serwicza tajemnicę śledztwa. Dałabym milion złotych, którego nie mam, gdybym w tej chwili mogła zobaczyć wyraz jego twarzy.

— Naprawdę bardzo mi przykro. Wyobrażam sobie, jak to przeżyłaś. To twoja najlepsza przyjaciółka. Szkoda takiej uroczej kobiety. Szczerze ci współczuję.

Poczułam ukłucie zazdrości. Maja jeszcze po śmierci odnosiła

sukcesy, triumfowała nade mną. Na pewno zrobiła silne wrażenie na Zdzisławie, może dlatego nie odzywał się do mnie tak długo?

— Sławo, nie słyszę ciebie, czy nam nie przerwano? — głos Zdzisława zabrzmiał niecierpliwie.

— Nie, cieszę się żeś zadzwonił. — Kiedy cię zobaczę?

— Niestety, teraz to nie będzie możliwe. Bardzo cię przeproszam i mocno żałuję, ale musimy nasze spotkania odłożyć na później. Przebywam dość daleko od Warszawy i moja nieobecność jeszcze trochę potrwa. Oczywiście natychmiast zatelefonuję po powrocie. Teraz chciałem cię tylko pozdrowić i zapewnić o swojej pamięci. Do widzenia Sławo.

— Żegnaj... — powiedziałam i odłożyłam słuchawkę ze ściśniętym sercem. Więc tym razem rozstaliśmy się naprawdę i na zawsze. Ten grzecznościowy telefon kwitowa! bezpowrotnie nasz mały, przyjemny flircik. Jako dobrze wychowany mężczyzna nie chciał pozostawić po sobie złego wspomnienia. A może dzwoniąc do mnie pragnął osiągnąć inny cel: uspić moje ewentualne podejrzenia w związku ze śmiercią Mai. Włos momentalnie zjeżył mi się na głowie. Wszystko co mówił brzmiało zagadkowo. Nie wyjaśnił celu swojej podróży, nie podał miejsca pobytu, jakby to uczynił każdy inny człowiek, nie mający niczego do ukrycia. Powiedział: „Kiedyś ci to wyjaśnię, potem ci wytłumaczę” — otoczył się nimbem tajemniczości, a jednocześnie uspokoił, w swoim mniemaniu, moją podrażnioną ambicję kobiecą.

A jeśli to on, a nie Radziw jest mordercą, albo co najmniej ma coś wspólnego ze zbrodnią? Może obaj z Radziwem znają się doskonale, należą do tej samej szajki i razem dokonali dawno zamierzonego morderstwa. Brnęłam coraz dalej w swoich teoretycznych rozważaniach i czułam, że zwariuję, jeśli nie odegnam tych dręczących myśli.

Kieliszek koniaku znów przywrócił mi trzeźwość rozumowania, dzięki swojemu leczniczemu działaniu. Po co by w takim razie w ogóle do mnie dzwonił, gdyby był mordercą? Ostatecznie nie uwiódł dziewczycy, ani nie pozostawił mnie z dzieckiem na rękę. Taki banalny epizod nie wymaga wyjaśnień

ani wielkich słów przy zerwaniu, szczególnie w naszym wieku. Widocznie naprawdę odczuwał potrzebę wymiany ze mną kilku słów. Ostatecznie nie miał najmniejszego obowiązku tłumaczenia się ze swoich życiowych posunięć. Koniec, kropka. Pan Zdzisław Kamiński może zostać najwyżej wciągnięty do rejestru moich byłych wielbicieli, a przestępcą jest i był ten ciemnoskóry Singapurczyk. Mogę tylko, wbrew swoim zasadom, zważywszy na specyficzne okoliczności sprawy, zadzwonić jutro do biura i do domu Zdzisława, aby sprawdzić wiarygodność jego słów. W ten sposób nareszcie wyeliminuję go z kręgu podejrzanych i uspokoję własne sumienie. Nadeszła pora, żeby zmobilizować Serwicza do energiczniejszego działania.

Wprowadzając ten zamysł w czyn, nakreśliłam specjalny, służbowy numer telefonu pułkownika, otrzymany na wypadek ujawnienia przeze mnie elektryzujących wiadomości.

Natychmiast prawie usłyszałam jego spokojny głos. — Słucham.

— Dzień dobry, panie pułkowniku. Mówi Sława Grzybowska.

— Witam, pani Sławo. Co się stało?

— Coś niesłychanie ważnego. Morderca wrócił na miejsce zbrodni. Może go pan natychmiast aresztować.

— Zechce pani mówić trochę jaśniej. — Jaki morderca i gdzie wrócił?

— No, oczywiście, ten Radziw Khan z Singapuru. Przyjechał do Warszawy i jak gdyby nigdy nie zjawił się w mieszkaniu Mai z wizytą towarzyską. Kiedy mnie zobaczył zapytał o nią, nawet nie zmrużywszy oka. Naturalnie nie powiedziałam mu, że ona nie żyje, udałam, że wyszła na miasto. Chyba dobrze zrobiłam, jak pan uważa?

— Doskonale. Słucham, co dalej?

— Znam jego adres, jeżeli nie skłamał. Podobno zatrzymał się w hotelu „Extrapol”. Teraz możecie go już złapać. On planuje włamanie na Wilczą, pewno tam jest ukryty łup.

— Łup? — zdziwił się pułkownik, niemal tak, jak Renata.

— Pani ma bujną wyobraźnię, pani Sławo, kto wie, ile w

tym racji. Dziękuję za informacje, są istotnie bardzo ważne i cenne, choć o przylocie pana Khana do Polski i o każdym jego kroku wiemy od chwili, kiedy wylądował na lotnisku w Warszawie.

— To dlaczego go pan dotąd nie aresztował? — wyrwało mi się mimo woli.

— Brak jeszcze ku temu podstaw, tyle na razie mogę pani powiedzieć — głos Serwicza zabrzmiał stanowczo. — A właśnie, kiedy pani opuści mieszkanie na Wilczej, czy porządki już skończone? Jestem zmuszony prosić panią o ich przyspieszenie.

— To pan też o tym wie? W takim razie jutro sporządę spis rzeczy pozostałych po Mai. Komu mam zwrócić klucze?

— Może je pani zostawić u gospodarza domu. I jeszcze raz proszę niech się pani od tych spraw trzyma z daleka. Ci ludzie nie przebierają w środkach.

Chciałam jeszcze dodać, iż dziwi mnie taka gra na zwłokę, i że skoro ma Singapurczyka w garści, powinien go natychmiast unieszkodliwić, ale połączenie zostało przerwane. I to na moje szczęście, gdyż parę minut potem doszłam do wniosku, jaką bezczelnością z mojej strony jest wkraczanie w czynności służbowe pułkownika Serwicza.

Nazajutrz, jak tylko wybiła godzina ósma, zadzwoniłam do biura Zdzisława, nawet się nie zastanawiając, co będzie, jeśli odbierze osobiście telefon i pozna mnie po głosie. Po drugiej stronie drutu odezwał się wdzięczny kobiecy sopranik. Czyżby sekretarka osobista, albo któraś z uroczych koleżanek?

— Czy mogę prosić inżyniera Zdzisława Kamińskiego

— zapytałam sięgającym szczytów uprzejmości tonem.

— Inżyniera Kamińskiego? — głosik zabrzmiał niekłamanym zdumieniem. Z daleka słychać było stukot maszyny i odgłosy rozmów tak jak w każdym biurze.

— Czy inżynier Kamiński tu nie pracuje?

W słuchawce zapanowała cisza, jakby ktoś specjalnie zakrył membranę ręką. Wyraźnie się z kimś naradza — pomyślałam. Ciekawe, co tu jest grane?

— Pan inżynier wyjechał i nieprędko wróci. Czy mam coś

przekazać? — sopranik jakby spłoszony i mniej wdzięczny.

— Dziękuję, to mi wystarczy.

No, teraz już się wyjaśniło, Zdzisław na pewno siedział obok i naprędce podpowiedział te słowa. Być może niejednokrotnie już w ten sposób spławił byłe sympatie. Dla pewności jeszcze zatelefonowałam do jego mieszkania. Może teraz do aparatu dla odmiany podejździe na wpół śpiąca pani Kamińska, która pół godziny temu wyprawiła ukochanego małżonka do biura. To byłoby ukoronowaniem mojej romantycznej przygody. Ale tak się nie stało, nikt nie podnosił słuchawki. Spojrzałam na zegarek. Te wszystkie rozważania zajęły mi sporo czasu. Prawdopodobnie Renata czeka już na mnie pod drzwiami Mai. Nie omyliłam się, sterczała na klatce schodowej już od kwadransa.

— Mogłabyś się chociaż nie spóźnić — zaburczała. Już sąsiedzi biorą mnie za złodziejkę. Gotowi jeszcze zawołać milicję.

— Muszę cię pocieszyć, że dzisiaj jesteśmy tutaj ostatni raz. Pan pułkownik Serwicz kazał mi zwijać majdan. Widocznie urządzi tu kocioł.

Najtrudniejsza część zadania była jednak przed nami. Spisanie gigantycznej ilości biżuterii, całej garderoby Mai, wszystkich mebli i ich zawartości zajęło nam blisko siedem godzin. Obydwie z Renatą ślaniałyśmy się na nogach, natomiast sekundująca nam dzielnic sąsiadka — pani Aldona, zaproszona jako świadek remanentu, mimo ukończonych siedemdziesięciu pięciu lat, wyglądała tak świeżo, jak „ptaszek po kąpieli w porannej rosie”. Osoba ta z przedwojennego pokolenia żelaznych ludzi, odznaczała się niesłychaną wprost żywotnością, a ponadto darem szczegółowego opowiadania swoich przeżyć, począwszy od okresu raczkowania, aż po dzień dzisiejszy, ze szczególnym uwzględnieniem nieudanego pożycia małżeńskiego trwającego niespełna dwa tygodnie. Mogłoby to być ciekawe i pouczające, gdyby nie monotonne brzmienie jej głosu, wzmagające naszą senność spowodowaną zmęczeniem po ewolucjach akrobatycznych i podsufitowych przy sięganiu po wyroby ze szkła i porcelany. Renata zmuszona przeze mnie do takiej gimnastyki i jednocześnie do dyktowania nazw

przedmiotów, doznała niewątpliwie poważnego uszczerbku na zdrowiu, gdyż w pewnej chwili opadła na fotel, oświadczając, iż niebawem wyzionie ducha. Wtedy okazało się „jak dobrze mieć sąsiada”, pani Aldona bowiem, w dalszym ciągu promieniująca świeżością i pełna sił witalnych, dostarczyła nam dzban świeżo parzonej kawy i butelkę Cinzano wyciągniętą z zapasów Mai. To znacznie poprawiło nasze samopoczucie.

Patrząc na moje opuchnięte w kostkach nogi, przekłętną pochopność z jaką ofiarowałam swoją pomoc Jerzemu. Likwidacja chudoby Mai przerastała zwykle ludzkie siły.

W pokoju zrobiło się duszno, dowlokłam się więc do okna, aby je szerzej otworzyć i... znieruchomiałam z przerażenia. Po przeciwnej stronie ulicy, z papierosem w dłoni i ślepiami wlepionymi w szyby mieszkania Mai, stał Radziw Khan. Bezcelność tego draba, który w biały dzień urządził obserwację domu swojej ofiary, widocznie wypatrując chwili stosownej do jego penetracji, doprowadziła temperaturę mojej krwi i tak już podniesioną wypiciem pół butelki wina, niemal do stanu wrzenia.

Nie, jednak Serwicz nie ma racji pozwalając mu na bezkarne buszowanie po mieście. Niech ten Hindus nie będzie taki cwany. Jeżeli śledzi nasze kroki, należy mu się zrewanżować tym samym, a może przy tej okazji, niemrawo posuwające się śledztwo w sprawie śmierci Mai nabierze żywszego tempa. Natychmiast w przypląwie energii i pomysłowości odzyskałam pełnię sił fizycznych.

— Chodź tu Renata — zawołałam — zobacz kto stoi na warcie przed domem.

Stękając, podniosła się z fotela. — To chyba ten Hindus, jak myślisz? — spytała niebawem.

— Jeszcze masz wątpliwości? Naturalnie, to on. Czatuje, żeby dostać się do mieszkania Mai, kiedy nikogo nic będzie. Musimy sprawdzić co on w ogóle porabia w Warszawie, gdzie chodzi, z kim się kontaktuje, trzeba go przechytryć, niech nie myśli, singapurska jego twarz, że jesteśmy skończone idiotki.

— Sława — Renata odsunęła się ode mnie, jak od osoby z

ograniczoną poczytalnością. — Tobie coś znowu strzeliło do głowy, prawda?

— Nic takiego, tylko to, że wieczorem idziemy w tango.

— Nie możesz mówić normalnie, nie cierpię gdy używasz jakiegoś slangu.

— W takim razie przyjmij do wiadomości, że wybieramy się tej nocy do restauracji w hotelu „Extrapol” na kolację i to w charakterze szalowych kociaków.

— Z kim?

— Same, wampy zawsze chodzą bez obstawy. Na pewno ten typek też tam będzie. Tacy goście wieczorem urzędują w hotelowych restauracjach. Zobaczymy z kim się tam spotyka, w jakim środowisku się obraca, może się czegoś ciekawego o nim dowiemy, coś podsłuchamy, wyśledzimy jakąś melinę.

— Sława, ty chyba jesteś pijana. To robota dla silnych chłopów. Przecież milicja już go ma na oku. Ja nigdzie nie pójdę, od razu umarłabym ze strachu.

— Słuchaj, wiesz co ci powiem. Jesteś zwyczajna glista i nic więcej, no może tchórz i glista. Twoja najlepsza przyjaciółka leży w grobie, a jej morderca paradytuje jak gdyby nigdy nic, pod jej oknem z papierosem w zębach. Po prostu drwi sobie z nas w żywe oczy. Nie wiem jeszcze czy czegoś się dowiemy. Pewnie niczego, a może coś takiego, co popchnie śledztwo na inne tory. Nic ci się nie stanie, jak pójdziesz do restauracji. Zaraz stracisz cnotę, czy co? Nigdy nie byłaś w nocnym lokalu?

— Ale on nas zobaczy i nic z tego nie wyjdzie. Widział nas wtedy i wczoraj...

— Przebierzemy się tak, że rodzona matka by nas nie poznała. Jeśli chcesz — to ucharakteryzują cię na Malajkę.

— Ja nie mam żadnej wieczorowej sukni.

— Wyszukujesz same trudności. Mała Maja zostawiła kreacji? Znajdzie się jakiś wór z Paryża, w który się wciśniesz. Z tym nie będzie kłopotów. Krótko mówiąc: idź teraz do domu, odpocznij, weź kąpiel i wracaj za trzy godziny. Będę tu na ciebie czekać. I połknij jakieś pigułki na

ten twój przeklęty pęcherz, żebyś nie latała bez przerwy do toalety.

— Z ciebie to zupełny szaleniec, a ja nie wiem dlaczego stale ci ulegam — pobiadoliła jeszcze Renata. — Tylko pamiętaj, że moje zwolnienie kończy się za dwa dni. Zresztą nie wiem, czy po tym wszystkim naprawdę poważnie nie zachoruję.

Rozdział V

Przyszła, choć obawiałam się, że w ostatniej chwili obleci ją strach, wymoczona, ze skórą czerwoną od natrysków, mających w jej przekonaniu skutecznie usunąć ślady zmęczenia. Z włosami zwisającymi niczym strąki, przedstawiała przysłowiowy obraz nędzy i rozpacz. I jak tu taką zrobić na wampa, podrywaczkę, bywalczynię *night-dubów*. Pocziwe Renacisko, ale straszna ofiara życiowa. Z taką aparycją rzeczywiście nadawała się wyłącznie do sporządzania lekarstw w hermetycznym zaciszu laboratoriów aptecznych. Wybór sukni, pasującej do jej obfitych kształtów, okazał się nie lada sztuką. Maja była zgrabną kobietą, szczupłą w biodrach i wąską w pasie. Szmatki, które nosiła, służyły raczej do podkreślenia jej wdzięków, tak zwane „bliżej ciała”. Ja natychmiast znalazłam dla siebie toaletę o niesłychanie jadowitym, kojącym w oko, tonie zieleni, którą uznałam za najodpowiedniejszą na tego rodzaju wypad. Do tego srebrzysty długi szalik, włoskie srebrne pantofle na szpilkach (nosiłyśmy z Mają ten sam rozmiar obuwia) i na dokładkę klipsy, długie, pobrzękujące, inkrustowane brylancikami.

Z Renatą — nic nie wychodziło. Jak nie za ciasno w biodrach, to w biuście albo za krótko. Wreszcie znalazłam coś stosownego: czarnego „gnieciucha” złożonego z przepastnej, kimonowej bluzki i spódnicy z falbanami.

W stosie peruk wyszukałam rudą dla Renaty, a blond dla

siebie. Po zrobieniu ostrego makijażu, wyglądała nawet interesująco, trochę demonicznie, w każdym razie zmieniała się nie do poznania i obawy, że Singapurczyk może ją rozpoznać, wydawały się płonne. Kiedy jej założyłam na szyję grupy, srebrny łańcuch i także kolczyki, niemal sięgające ramion, klasnęłam w ręce z uciechy — Renata, ty musisz chodzić tak na co dzień. Jesteś teraz niesłychanie *sexy*. Ręczę, że wybraliby ciebie na jakimś aptekarskim konkursie piękności — Miss Farmacji AD 1989.

Jeśli chodzi o mnie, to po nałożeniu na powieki beżowozłoty cieni, a na twarz różowobiałej warstwy szminki, wyglądałam na oblataną dewizówkę w końcowym etapie kariery, tuż przed przejściem na emeryturę.

— Słuchaj, bierzemy mercedesa Mai. Jak szaleć, to szaleć

— oświadczyłam, wyjmując kluczyki od samochodu z szuflady.

— A po co? — przecież to parę kroków — zdziwiła się po swojemu Renata.

— Po pierwsze nie możemy paradować po ulicy w charakterze, oględnie mówiąc, dam z półświatka, po drugie może się zdarzyć, iż trzeba będzie zarządzić pościg za Khanem.

— Chcesz go gonić po całym mieście, jak w jakimś gangsterskim filmie z Belmondo? W co my się pakujemy. Zdejmij ze mnie te łańcuchy, nigdzie nie idę.

— Przestań wreszcie wydziwiać. Powinnaś mi podziękować, że zrobiłam cię na bóstwo. Już najwyższy czas wyjść z domu.

Poszła za mną potulnie, bo właściwie zawsze podporządkowywała się mojej woli. Całe szczęście, że zabrałam z sobą prawo jazdy mające teraz charakter symboliczno-pamiątkowy po nie istniejącym już fiacie 126p, którego sprzedawałam po śmierci Edwarda w jedenastym roku wiernej służby.

Portier w „Extrapolu” spojrzął na nas nieufnie, gdyż nie wiedział do której grupy społecznej należy nas zakwalifikować, szczególnie, że Renata robiła jakieś dzikie uniki, chowając się ustawicznie za moimi plecami. W końcu uznał nas za nieszko-

dliwe wariatki niewiadomego pochodzenia.

— Nie wiem czy panie znajdą miejsce. Jest już prawie komplet — powiedział.

— Nie szkodzi, poszukamy — odparłam bawiąc się kluczami od samochodu i wsunęłam mu do kieszeni odpowiedni banknot.

Sala restauracyjna rozbrzmiewała różnojęzycznym gwarem głosów. Goście hotelowi, przeważnie o mniej lub bardziej ciemnej skórze, siedzieli przy stolikach w towarzystwie ekscentrycznie ubranych, rodzimych piękności. Refrenista zawodził jakieś rozdzierające tango i kilka par kręciło się w rytmie muzyki po parkiecie. W zagęszczonym, sinym od dymu papierosowego powietrzu z trudnością dostrzegłam wolny stolik pod filarem. Renata półprzytomna z przestachu, trzymała mnie cały czas kurczowo za rękę. Kelner natychmiast wyrósł przy nas z białą kartą hotelowego *menu*, w której główną pozycję zajmowały napoje wysokowe. Z miną wytrenowanej bywalczyni tego rodzaju miejsc rozrywkowych zamówiłam dwa razy udziec barani z zieloną sałatą, oraz butelkę czerwonego wina, mając na względzie figurujące przy nich najniższe ceny w całym zestawie. Kelner z wyraźnym niesmakiem i dezaprobatą przyjął moją dyspozycję i oddalił się spiesznym krokiem.

— Jest! — krzyknęła w pewnej chwili Renata, która powoli oswajała się z atmosferą panującą na sali.

— Kto? — zapytałam zapominając o celu naszej niecodziennej eskapady.

— No, ten twój Hindus — Khan.

— Taki sam mój, jak i twój — odparłam i spojrzałam w kierunku wskazanym przez Renatę.

Rzeczywiście siedział samotnie pod oknem w tym samym szarym ubraniu, w którym zjawił się u Mai w noc morderstwa i spokojnie palił papierosa. Przesiadłam się na inne krzesło, aby nie spuszczać go z oka. Kelner z niedbałą nonszalancją ustawił przed nami dymiące talerze i wprawnie rozlał wino do kieliszków.

— Sława, czy ty masz tu znajomych? — spytała w pewnej chwili Renata, zanim zdążyłam przełknąć pierwszy kęs mięsa.

— Nie sędzę — powiedziałam z ustami pełnymi jedzenia.

— Dlaczego pytasz?

— No, bo ci faceci przy orkiestrze stale ci się kłaniają. Istotnie dwaj panowie w szafirowych, niemal identycznych garniturkach, o naturalnie wijących się w drobniutkie pukle, czarnych włosach, raz po raz wykonywali na naszą cześć różne wygibasy mające imitować ukłony, machali rękami, a nawet posyłali od ust, drogą powietrzną, całusy.

— Nie zwracaj na nich uwagi — stwierdziłam, kontynuując spożywanie baraniny.

Nie na wiele to się zdało, gdyż ogniści wielbiciele zerwali się w pewnej chwili ze swoich miejsc, pozęglowali w naszą stronę i zanim zdążyłam zaprotestować, już siedzieli obok nas przy stoliku.

— *How do you do, baby?*— powiedział jeden z nich, starszy, nieco podobny do Omara Sharifa — *Im Selim*.

— *My name is Hasan* — przedstawił się ze swoistą galanterią drugi, zezując na Renatę, która wyraźnie wpadła mu w oko.

Obydwoj nosili krawaty o płomiennej barwie, pod marynarkami obcisłe sweterki mimo panującego na sali nieznośnego upału, uwydatniające ich mocno zaokrąglone brzuszki. Śmieli się od ucha do ucha, tryskając humorem i chęcią szampańskiej zabawy. Nie mogłam zrobić awantury i wyprosić ich od stolika. Ostatecznie skoro dwie babki w określonym wieku, wymalowane i wystrojone zjawiają się same w nocnym lokalu, tego rodzaju oferta jest zupełnie normalnym zjawiskiem. Urządzenie widowiska ze strojeniem obrażonej niewinności, nie leżało absolutnie w moim interesie, gdyż niewątpliwie zwróciłoby na nas uwagę Khana, tkwiącego dalej nieruchomo pod oknem. Mrugnęłam więc porozumiewawczo na Renatę i szepnęłam — wola boska i skrzypce. Błagam cię, nie rób miny udęczonej niewolnicy Isaury.

— *To drink something?* — zapytał Selim, błyskając białymi

zębami w czarnej, niebrzydkiej gębie.

— *I don't understand english* — odpowiedziałam, chcąc przeciąć tym samym rozmowę.

— Czy ty cosz wypicz? — omal nie połamał sobie języka i nie czekając na moją odpowiedź, pstryknął palcami na przechodzącego kelnera. W jednej chwili pojawiły się na stole półmiski z płatami szynki, polędwicy, sałatka, śledzie oraz butelka koniaku. Hojność naszych wielbicieli nie miała granic.

— Proszę jeść, wy ładne kobitki — popisał się swoją polszczyzną Selim. Wy samy, my sama, razem bawić się — klasnął w dłonie i roześmiał się uradowany ze swojego konceptu.

— *Shell we dance* — wyszczerzył się w uśmiechu Hasan do Renaty. Orkiestra zaczęła właśnie modną czaczę, momentalnie mnóstwo par zerwało się z miejsc i pobiegło w podrygach na parkiet. Renata już zamierzała odmówić, ale kopnęłam ją w łydkę i powiedziałam z niewinnym wyrazem twarzy do jej partnera — koleżanka bardzo lubi czaczę.

Odchodząc od stolika spojrzała na mnie dziko i rozpaczliwie zarazem, jakby czekały ją chińskie tortury.

— My też tańczyć — Selim usiłował objąć mnie wpół.

— Nie mogę, boli mnie noga — odmówiałm stanowczo, nie chcąc ani na sekundę stracić z oczu Radziwa.

— To my dance bez noga — wybuchnął śmiechem Selim, kontynuując swoje obcesowe zaproszenie.

— My lepiej pić koniak — zaproponowałam, mając nadzieję, że to ostudzi szal taneczny mego adoratora. Poskutkowało. Z zapałem napełnił kieliszki i wzniosł niezrozumiały toast w swoim ojczystym języku.

Nagle weszła na salę dziewczyna, która przyciągnęła spojrzenie wielu mężczyzn, stanowiła bowiem niezaprzeczalnie ucieleśnienie wszystkich samczych marzeń, jednocząc w sobie seks, urodę i elegancję. Wysoka, o czarnych, lśniących włosach, spiętych w kok, cerze koloru mlecznej kawy, w szmaragdowej, przetykanej złotem sukni, poruszała się z wdziękiem modelki paryskiego domu mody. Przemknęła zręcznie między stolikami

i bez wahania usiadła przy Radziwie, który powitał ją jak dobrą znajomą. Od razu też pogrążyli się w ożywionej rozmowie.

Wejście tajemniczej brunetki tak dalece przyciągnęło moją uwagę, że przestałam reagować na zaloty Selima, który wyraźnie poczuł się tym rozczarowany i zaczął głośno wyrażać swoje niezadowolenie. — Ty nie pić, nie tańczyć, to co ty robić?

— Myśleć, jaki ty przystojny, elegancki mężczyzna — odpowiedziałam. — Jak ja trochę pomyśleć, to znów pić. Selim najpierw oniemiał z wrażenia, a potem zaczął się hałaśliwie śmiać, przysunął moje krzesło do swojego i natarł na mnie całą swoją masywną postacią.

— Trochę za gorąco — oświadczyłam i odepchnęłam go tak energicznie, że omal nie stracił równowagi i nie wywalił się na podłogę. Całe szczęście, że w tej samej chwili wróciła Renata z Hasanem, nie wiem bowiem jakby wyglądało zakończenie moich igraszek z Selimem, sprawiającym w tej chwili wrażenie rozwścieczonego byka. Renata po przetańczeniu kilku żywiołowych kawałków znajdowała się w dramatycznym stanie. Pot rozpuścił makijaż, tworząc urozmaicone kolorystycznie plamy na jej twarzy, peruka przekrzywiła się na bok, suknia przy akrobatycznych płużach pękła pod pachą. Całość wymagała natychmiastowej korekty w odosobnionym miejscu. Na razie dałam jej ręką znać, aby osadziła perukę normalnie na głowie i szepnęłam. — Popatrz jaka szalowa babka przysłała do Radziwa Khana.

Dobrze, że Hasan odznaczał się większym poczuciem humoru niż Selim i miał przyjemniejsze niż on usposobienie, gdyż kilkoma słowami uspokoił swojego przyjaciela w grzechotliwie brzmiącej mowie, przywracając tym poprzedni, beztroski nastrój. W przeciwnym razie, niewątpliwie musiałybyśmy natychmiast opuścić naszych amantów, co pociągnęłoby za sobą utratę doskonałego punktu obserwacyjnego, a tym samym fiasko całej wyprawy.

Dalszy ciąg naszej sielanki z Arabami polegał na umiarkowanym spożywaniu licznych potraw, markowanym przez nas picie alkoholu i ustawicznym opędzaniu się od coraz bardziej natarczywych zalotów, przybierających na intensywności w

miarę opróżniania się butelki. Atmosfera na sali stawała się też coraz gorętsza, rozlegały się pijackie krzyki, śmiechy. Wielu mężczyzn poruszało się po sali zygzakowatym krokiem. Miałam tego wszystkiego serdecznie dość, ale nie mogłam opuścić swojego posterunku, gdyż wzrok mój ustawicznie przyciągał Radziw Khan, dyskutujący bez przerwy z czarnowłosą pięknoską. Nagle rozbłysły różnokolorowe światła wokół zespołu i wyrosły jak spod ziemi konferansjer zapowiedział występy artystyczne ze striptizem, jako gwoździem programu. W tej samej chwili zauważyłam, że Radziw reguluje rachunek i oboje z brunetką szykują się do wyjścia.

— Idziemy — syknęłam Renacie w samo ucho i zerwałam się z miejsca — *Excuse me for a moment*.

Zanim nasi fatyganci zdążyli coś powiedzieć, zmieszaliśmy się z tłumem restauracyjnych gości. Na dole niemal wydarłam nasze okrycia z rąk zdumionego szatniarza i zmusiłam Renatę do błyskawicznego zajęcia miejsca w samochodzie. Jednocześnie od sznura aut stojących na placyku przed hotelem, oderwało się połyskujące błękitem karoserii Renault, w którym zamajaczyły twarze Khana i jego towarzyszki.

— Dokąd jedziemy? — zapytała Renata zielona ze zmęczenia i strachu.

— Za nimi. Czy ty nie rozumiesz, że ta czarnowłosa dziewczyna to albo jego nowa ofiara, albo współniczka. Jeżeli ofiara — to być może zdążymy zapobiec nowej tragedii, a jeśli współniczka

— to mamy szansę wykrycia siedziby międzynarodowego gangu.

— Nie wiem w jaki sposób chcesz to wszystko zrobić

— westchnęła — myślisz, że ci to wszystko tak łatwo pójdzie?

— Zobaczymy, mruknęłam mknąc w przyzwoitej odległości za samochodem Khana.

— Wiesz, my jesteśmy świnię, nie zapłaciłyśmy za swoją baraninę i wino — zauważyła w pewnej chwili Renata.

— Rzeczywiście — przyznałam. — I to ich może odczy od zaczepiania samotnych kobiet.

— Nie trzeba było robić z siebie takich straszydeł, to by nas nie zaczepiali.

— Gdybyśmy przyszły ulizane i w starych kieckach, to portier nawet by nas nie wpuścił do restauracji. Przecież nie muszę ci tego tłumaczyć i przestań gadać bo niemal nie zgubiłam ich tropu.

Hindus i brunetka wyraźnie zmierzali w kierunku Pragi i to na Saską Kępe. Po długim kołowaniu wśród willowych uliczek, wjechali w ulicę Chilijską, zabudowaną wyłącznie czteropiętrowymi, współczesnymi bloczkami, stanowiącymi najnowsze osiedle okupowane przeważnie przez „powracających” albo innych zasobnych dewizowców. Uniknięcie bezpośredniego spotkania ze śledzoną parą, graniczyło z ekwilibrystycznym wyczynem, zważywszy na wielkość i okazałość mercedesa.

Renault stanęło pod domem numer sześć, a ja zahamowałam parę bloków dalej. Radziw razem z swoim kociakiem wysiedli i zginęli w czeluściach bramy. Za chwilę w uśpionym budynku na drugim piętrze zapłonęły światła.

— A więc tu mieszka to czarne bóstwo — stwierdziłam niezbyt inteligentnie i mało odkrywczco.

— Czy przypuszczasz, że Khan ją dzisiaj zamorduje? Chyba nic poszedł tam w tym celu? — spytała wespół zasypiająca Renata.

— Nie, sądzę, że ma całkiem inne zamiary. Ta dziewczyna to jego kochanka i współniczka, a tu mieści się na pewno polska centrala gangu.

— Skąd wiesz? — może to całkiem zwykłe mieszkanie.

— Znów zaczynasz wyprowadzać idiotyczne wnioski. Lepiej idź spać. Jesteś zupełnie do niczego.

— Ale odwieziesz mnie do domu? — zatrwożyła się, że ją zostawię w nocy samą na Saskiej Kępie.

— Tak. a jutro przystąpimy ponownie do działania. Ja pójde do tego domu, dowiem się kim jest ta szałowa piękność i w ogóle co to za lokal, w którym mieszka. Myślę, że uzyskam różne, ciekawe informacje. Dla ciebie mam inne zadanie. Postoisz trochę w pobliżu „Extrapolu”, odczekasz aż Hindus opuści swój apartament i porozmawiasz z

portierem. Powiesz, że poszukujesz pana Radziwa Khana, zapytasz na jak długo teraz przyjechał, kiedy go można zastać itd.

— Za nic w świecie tego nie zrobię. I tak się niczego nie dowiem. Portier nie udzieli żadnych informacji komuś z ulicy. Zresztą jak bym mogła mu wytłumaczyć dlaczego w ogóle szukam jakiegoś Hindusa. Renata wydawała się zupełnie rozbudzona.

— Możesz mu powiedzieć, że Khan jest ci winien pięć tysięcy dolarów — zażartowałam, ale przyjęła to zupełnie serio.

— Kiedy ja nigdy nie miałam żadnej obcej waluty — prawie się rozbeczała.

— Masz rację. Nigdzie nie pójdziesz, to by tylko popsuło sprawę. Wracaj do apteki, już tam pewno bez ciebie żyć nie mogą. Zadzwoń, jak będziesz mi potrzebna.

Na drugim piętrze w tej chwili zgasło światło.

— Jedziemy, powiedziałam sama do siebie, gdyż Renata zasnęła jak niemowlę.

Rozdział VI

Nazajutrz skoro świt, po przespaniu zaledwie dwóch godzin, pojechałam mercedesem Mai na Chilijską, aby w ukryciu i w pozycji siedzącej poczekać na wyjście z domu egzotycznej pary kochanków, potem zasięgnąć o nich tak zwanego języka u gospodarza domu. Nawet odczuwałam zadowolenie, że działam sama bez Renaty. Jej ślamazarność i wrodzona tępota umysłowa działała mi na nerwy i utrudniała każdą, bardziej śmiałą inicjatywę. Oczywiście, wczoraj w restauracji potrzebowałam jej pomocy, choćby w charakterze statystki, sama nie mogłam się zjawić w nocnym lokalu, ale dzisiaj, kiedy akcja wymagała przedsiębiorczości, pewnej dozy inteligencji, jej obecność raczej by utrudniała niż ułatwiała, wykonanie zamierzonego planu.

Czatowanie w aucie doskonale sprzyjało drzemce,

szczególnie po nocnej hulance, panowałam więc całą siłą woli nad zaśnięciem, aby nie przeoczyć ukazania się na ulicy Hindusa i jego uroczej wybranki. Khan wcale się nie spieszył z opuszczeniem rozkosznego gniazdko, czemu nie można się dziwić, mając na względzie wdzięki jego partnerki. Dopiero po dziesiątej wsiadł do swojego samochodu i ruszył pośpiesznie w świat, zaś czarnowłosa w białym kostiumie i takich pantofelkach uczyniła to samo w niecałą godzinę po nim.

Uznałam, że nadeszła chwila działania i odrętwiała od długiego siedzenia w bezruchu, wygrzebałam się z mercedesa. Najpierw sprawdziłam, że obserwowany przeze mnie lokal ma numer piąty i na drzwiach jego figuruje metalowa tabliczka z nazwiskiem „J.B. Mauserowie”, a potem udałam się na poszukiwanie gospodarza domu. Nie trwało to długo, gdyż pierwsze od wejścia na lewo mieszkanie zaopatrzone było w ozdobny szyldzik „Waldemar Gryczko — Gospodarz Domu”. Na dźwięk dzwonka ukazała się na progu wysoka, chuda niewiasta w czerwonym aksamitnym szlafroku, o dość ponurej twarzy, z głową obciążoną mnóstwem metalowych lokówek.

— Pani do kogo? — spytała obcesowo, taksując mnie spojrzeniem małych, rozbieganych oczu.

— Do pana Waldemara Gryczki — odparłam najuprzejmiej, jak tylko umiałam.

— A w jakiej sprawie? — indagowała nieustępliwie i zatarasowała mi wejście swoją tyczkowatą postacią.

— Jestem dziennikarką — wyjęłam z torebki legitymację „ZAIKS-u”, którą zawsze noszę przy sobie i mignęłam nią przed jej nosem. Przedstawiciele prasy wywierają jednak magiczny wpływ na ogół obywateli. Nawet pani Gryczkowska odsunęła się i zawołała piskliwym głosem w głąb mieszkania:

— Waldek, jakaś dziennikarka do ciebie. Pewnie Kitasińska znów naskarzyła, że jej kran cieknie.

— Poproś panią do pokoju — odezwał się męski bas.

W ten sposób najpierw zostałam wpuszczona do przedpokoju, wyłożonego od góry do dołu boazerią, a

następnie do salonu recepcyjnego, tak bowiem można by nazwać co najmniej trzydziestometrowy pokój, wypełniony masą orzechowych mebli lśniących politurą, z puszystym, krwawoczerwonym dywanem i mnóstwem rzucających się w oczy wyrobów z kryształu.

Pan domu siedział przy stole przykrytym ceratą w bonzurce i w kapciach na nogach, zajęty konsumowaniem apetycznie dymiącej jajecznicy na boczku z dodatkiem półmetrowej paryskiej bułki. Na mój widok kiwnął głową i nie ruszając się z miejsca wskazał mi krzesło naprzeciw siebie.

— Niech pan sobie nie przeszkadza — powiedziałam ale nic nie wskazywało na to, by pan Gryczko miał zamiar z mojego powodu oderwać się od jedzenia.

— Ludzie są różni — zakonkludował między jednym kęsem a drugim. — Potrafią często niesłusznie oskarżać i szkodzić swoim bliźnim. Pani, z której gazety, można wiedzieć.

— Z „Nowin Wieczornych” — strzeliłam co mi ślina na język przyniosła.

— A! — powiedział i zastanowił się chwilę, ale widać zdążył się przyzwyczać do zjawiska masowego powstawania co raz to nowych organów prasowych, gdyż przeszedł nad nazwą do porządku dziennego. — Taka obywatelka Kitasińska na przykład. Uroiła sobie, że rozmyślnie odmawiam jej interwencji w administracji osiedla w sprawie wymiany uszczelki. Przychodzę, tłumaczę, że to nie o uszczelkę chodzi, a całą armaturę. A gdzie teraz szukać armatury, niech mi pani powie? Dział Techniczny nie dysponuje takową. Mówię, żeby jej syn z Ameryki przysłał dolary, to sobie nabędzie elegancką w „Pewexie”, przecież on to mieszkanie kupił i powinien dbać o konserwację, a Kitasińska na to, że nie mieszka w Stanach, a w Polsce, że jej emerytury nie płacą w dolarach i takie tam podobne głupstwa. A potem raz po raz, skarży do gazety.

— Ale ja, proszę pana, wcale nic w związku ze skargą, a w

całkiem innej sprawie — z trudnością przerwałam potok jego wymowy.

— Aaa — zdziwił się po raz drugi i nalał sobie aromatycznie pachnącej kawy z dzbanka do potężnego kubka. — To znaczy w jakiej?

— Pana dom został zakwalifikowany, jako jeden z najważniejszych kandydatów, do nagrody za najlepiej utrzymany budynek w Warszawie.

Zęgałam znakomicie. Wiedziałam, o jaką strunę potrącić. Pan Gryczko zmienił się natychmiast nie do poznania. Na jego pełnej twarzy, zaopatrzonej w niewielkie baczki i wąsik, rozlał się promienny uśmiech pełen zadowolenia, nie pozbawiony odcienia dumy z własnych, życiowych osiągnięć. Przestał nawet pić i jeść.

— A to niespodzianka! — oświadczył. Myślałam, że te skargi mi zaszkodzą, a przecież sobie człowiek żyły wypruwa, nie szczędzi sił i zdrowia, aby wszystkim dogodzić.

— Toteż pana praca spotkała się z należytą, pozytywną oceną. Widzi się tu pieczołowitą, troskliwą rękę gospodarza, dbającego o mienie społeczne. Czystość, elegancja, przestrzeganie higieny, estetyka...

— Mój mąż jest ekonomistą z zawodu, chwilowo tylko przyjął to stanowisko — wtrąciła się pani Gryczkowa, zelektryzowana wiadomością o splendorach czekających jej małżonka.

— Jadwigo, nikt cię nie prosił o informację — zgromił ją pan i władca. — Pani redaktor ze mną rozmawia.

— Nic nie szkodzi, uśmiechnęłam się czarująco. — Uwagi pana żony są bardzo cenne, posłużą jako materiał do artykułu o pracy i życiu wzorowego gospodarza w osiedlu na Chilijskiej.

Pan Gryczko wręcz podskoczył na krześle z nadmiaru rozpierającej go pychy. — Czym więc mogę pani służyć?

— zapytał szarmancko.

— Proszę mi opowiedzieć w jaki sposób doszedł pan do takich wspaniałych efektów w pracy. Skąd tyle siły i

niespożytej energii w jednym człowieku?

— To też musi ludzi najmować, żeby sprzątała i płacić im ciężkie pieniądze, bo sam prawie robić nie może, choruje na reumatyzm — wtrąciła gadatliwa połowica.

— Jadwigo, już cię prosiłem, żebyś się nie mieszała do nie swoich spraw. Idź lepiej do kuchni i przygotuj kawę dla pani redaktor — Gryczko obrzucił żonę pełnym wściekłości spojrzeniem.

— W żadnym wypadku. Dziękuję uprzejmie za kawę — powiedziałam ze słodziutkim uśmiechem. — Wystarczy mi rozmowa z panem Waldemarem. W takiej sytuacji lokatorzy zapewne panu pomagają. Widzę wokół domu pięknie utrzymany ogródek. Czy to też pana dzieło?

— Nieliczni mieszkańcy tego domu istotnie poczuwają się do jakiej takiej pomocy. Taki Borkowski, Matusik, na ten przykład. Czasem pozamiatają na sieni i przed domem, ale inni — uchowaj Boże — same nieużytki, bez wychowania społecznego i obywatelskiego — pompatycznie oświadczył Gryczko. Patrzą jak nieraz ledwo powłóczę nogami i ani się nie ruszą.

— A ta piękna brunetka z drugiego piętra, chyba też udziela się społecznie? — zapytałam znienacka.

— O kim pani mówi, o tej czarnej gzicy? — zaperzyła się nagle pani Gryczkova, stając na progu pokoju z gorącą kielbasą dla męża.

— Jadwigo, nie wyrażaj się — ofuknął ją Gryczko — Pani wybacz, żona taka znerwicowana, po trzech nieudanych połogach.

Kiwnęłam współczująco głową na wieść o przypadłościach ginekologicznych wymownej niewiasty.

— Dlaczego ma pani tak niepochlebne zdanie o tej brunetce? Widziałam ją przed chwilą: urodziwa, elegancka, sama wiosna i radość życia.

— Bo pani jej nie zna. Odkąd się tu sprowadziła, bez przerwy same czarnuchy się tu kręcą. Człowiek boi się, żeby taki nie zamalował gdzie po nocy. A brudzą jak te świnie. Niedopałki rzucają jak i gdzie popadnie, nawet palące się. A

potem ludzie skargi piszą, że się nie sprząta.

— Nie przesadzaj. Ta pani jest studentką, to i ma różnych znajomych.

— Od dawna tu mieszka? — podchwyciłam z niewinną miną.

— Chyba od siedmiu miesięcy, wtedy jak Mauserowie spod piątego wyjechali do Libii, zostawili jej mieszkanie niby pod opiekę, ale ładna mi opieka, jak takich gości przyjmuje. Pewno już wszystkie meble poszły w drzazgi.

— A jak się nazywa?

— Chce ją pani opisać w gazecie? Proszę bardzo, zaraz pani powiem. Mąż prowadzi książkę meldunkową. Najlepiej jakby się taka wyniosła — pani Gryczkova żwawo pomknęła do regału i z szuflady wyciągnęła brulion w ceratowej oprawie. Wskazującym palcem przerzuciła kilka kartek. — O, jest, jest

— Inez Diaz, jakaś Brazylijka czy Hiszpanka, czort ją wie.

— Niech pani jej nie słucha. Nie doszło do żadnego naruszenia porządku publicznego przez tę obywatelkę. Przyjmuje gości, to prawda, ale młodość musi się wyszumieć — oświadczył wyrozumiale pan Waldemar, zabierając się do spożywania kielbasy. Najwyraźniej piękna cudzoziemka nie budziła w nim wrogich uczuć.

— Bo też zawsze bronisz wszystkie zdziry! — wybuchnęła jego małżonka i szurnęła talerzem po stole, wylewając tłuszcz na ceratę.

Ponieważ rozmowa między małżonkami przybrała nieoczekiwane burzliwe obrót, uznałam za stosowne natychmiastowe opuszczenie tego lokalu i pozostawienie Gryczków samym sobie wraz z nabrzmiałym konfliktem.

— Żegnam państwa — powiedziałam głośno, ale nie zwrócili na mnie uwagi, pochłonięci coraz bardziej ożywioną wymianą poglądów na temat pięknej, acz uciążliwej lokatorki.

Jadąc do domu, zrekapituowałam w myślach wszystkie zebrane dotąd informacje. A więc: Maja niewątpliwie należała do szajki prowadzącej nielegalną, przestępczą działalność przy-

noszącą milionowe zyski. Wskazywał na to standard życia Mai, jej podróże, biżuteria, stroje. Jednym z bossów, jeżeli nie głównym, to odgrywającym poważną, wiodącą rolę, wydawał się być Radziw Khan, występujący w Polsce w charakterze turysty, lub biznesmena. Za parawanem statusu studentki ukrywała prawdziwe oblicze Inez Diaz — współpracowniczka i przyjaciółka Radziwa, zaś lokal na Chilijskiej stanowił zapewne punkt kontaktowy członków gangu. Maja została zwerbowana do udziału w ich przestępczych machinacjach w czasie jednego ze swoich pobytów w Singapurze. Musiała tak narazić się swoim kompanom, że zgładzono ją. Z jakiegoś też powodu jej mieszkanie na Wilczej stało się celem zakusów Khana, który nie bacząc, na możliwość wpadki, usiłował się do niego dostać. Moja koncepcja, iż Maja ukryła w nim przedmioty o ogromnej wartości, pochodzące z jakiegoś wielkiego, wspólnego skoku, posiadała wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Ciekawe czy Serwicz zna adres na Chilijskiej i czy piękna Inez znajduje się pod jego obserwacją. Prawdę mówiąc, na razie straciłam ochotę do informowania pułkownika o moich rewelacyjnych odkryciach skoro, jego zdaniem, organy śledcze mogą się całkowicie obejść bez mojej pomocy i traktują ją jak wścibstwo egzaltowanej jednostki.

W sieni, na drugim piętrze domu przy ulicy Antoniego Odyńca o tej porze zazwyczaj bywało pusto i cicho. Trzy lokale, znajdujące się w bliskim sąsiedztwie zajmowały samotne kobiety: to znaczy ja, następnie siedemdziesięcioletnia wdowa po kapitanie wojsk polskich oraz czterdziestolatka, również wdowa, tylko, że po mistrzu murarskim, który zakończył życie tragicznym salto mortale z rusztowania warszawskiego wieżowca. Ta ostatnia sporadycznie przerywała wdowią egzystencję, biorąc sobie przyjaciela z wiktem i opierunkiem, najczęściej nie na dłużej niż na pół roku. Ostatni „kochaś” wyprowadził się właśnie kilka dni temu, jako że zbyt długo zaglądał do kieliszka i zakłócał jej uregulowany tryb życia. Wdowa po kapitanie stanowiła całkowite przeciwieństwo pani Aldony. Tamta kipiała wprost energią i żywotnością, zaś kapitanowa wiecznie narzekała na gnębiące ją wszystkie

choroby świata, z rakiem ulokowanym po kolei na rozmaitych organach, co sprawiało, że chodziła żółta, zeschnięta, ze skwaśniałą miną, odstraszącą samym swym wyglądem znajomych, krewnych i dawnych przyjaciół. W związku z tym nikt oprócz listonosza i kobiety roznoszącej mleko do niej nie przychodził. Mnie odwiedzała od czasu do czasu z prośbą o wezwanie pogotowia, zamówienia wizyty u lekarza, albo wprost celem zawiadomienia mnie, że najniechybniej nie przeżyje już następnej nocy. Rano jednak, po tak makabrycznym komunikacie, widywałam ją niezmiennie wychodzącą po zakupy, zazwyczaj do „Supersamu”, gdzie zaopatrywała się w artykuły żywnościowe, przede wszystkim w ryby dla domowych i okolicznych kotów. Zakupy te trwały do trzynastej, potem parę godzin spędzała w sieni, wyglądając przez okno z widokiem na ulicę, co miało tę dobrą stronę, że w ten sposób ochotniczo pilnowała naszych mieszkań przed złodziejami.

Kiedy wchodziłam na schody prowadzące do mojego domu, zegarek mój wskazywał godzinę dwunastą, to znaczy czas, kiedy Waleria Wiśniewska przebywała w „Supersamie”, a Aldona Wąsik w fabryce Wyrobów Kosmetycznych „Pollena”. Tego dnia porządek ów wyraźnie został zakłócony. Pani Waleria stała w sieni, tuż przy moich drzwiach, dygocąc jak w ostrym ataku malarii. Ponieważ ta choroba nie figurowała, jak dotąd, na liście dolegliwości trapiących moją sąsiadkę, przeraziłam się, że istotnie tym razem poważnie zaniemogła.

— Co się stało, pani Walerio, czy zawołać lekarza? — zapytałam.

— Złodziej, bandyta — wymamrotała, szcękając zębami

— byłby mnie zabił... Cud Boski, że żyję.

— Jak to? — Napadli panią złodzieje. Czy mam zadzwonić po milicję?

— Nie mnie napadli, tylko panią. To znaczy jeden taki chciał się włamać do pani mieszkania. Miał w ręku cały pęk wytrychów... Ojej, aż mnie mdli, jak o tym myślę.

Ścisnęło mnie trochę w dołku, bo zawsze nieprzyjemnie, kiedy ktoś się dowie o usiłowaniu włamania do swojego domu, gdyż w prawdomówność pani Wiśniewskiej nie miałam

podstaw wątpić. Zrobiłam jednak dobrą minę do złej gry, aby podnieść na duchu starszą panią.

— Ale nic się nie stało, jak widzę. Proszę wejść do mnie, napije się pani herbaty i weźmie krople walerianowe.

— Jak to nic się nie stało? Mało nie umarłam ze strachu. Jak sobie przypomnę jego gębę, to mnie całą trzęsie.

Wzięłam ją pod rękę, otworzyłam drzwi i wprowadziłam do środka. Cały czas drżała jak galareta i nie mogła połknąć wody, bo zęby jej dzwoniły o szklanke. Wreszcie, po upływie prawie dziesięciu minut pierwszy szok minął.

— Teraz mi pani opowie co się właściwie wydarzyło?

— Nie poszłam dzisiaj na miasto, ponieważ gdzieś wczoraj złapałam katar. To na pewno grypa z komplikacjami, na którą zmarł mój Antoś, ale mniejsza z tym. Coś mnie jakby tknęło i wyszłam na sień, żeby spojrzeć trochę na ten świat Boży przez okno, bo człowiek skołowaciec może od samotności, a tu patrzę i oczom nie wierzę. Pod pani mieszkaniem stoi jakiś drab i coś dłubie w zamku. Wielki, szeroki w barach, w dżinsach i kurteczce. Jak nie wrzasnę mu nad uchem: Ty taki owaki, co tu robisz?! Zaraz zawołam milicję oprychu jeden! —To jakby w niego piorun strzelił. Dosłownie zatrzęsły mu się portki, widać się nie spodziewał, że go ktoś zaskoczy przy tej robocie. Wypatrzył drań. że o tej porze nikogo nie ma w domu. Ale zaraz odzyskał kontenans i spojrzał na mnie straszliwym zezem. Twarz ohydna, chyba zasmarowana sadzami, łeb kołtuniasty, dzieci nim można straszyc.

— I co dalej się stało?

Sąsiadka znów zaczęła dostawać drgawek na samo wspomnienie swojej przygody. Musiałam zaaplikować jej dodatkową porcję kropli.

— Najgorsze co być może. Chwycił w garść klucze, które trzymał w łapie, a miał ich chyba ze dwadzieścia, i chciał mnie ciąć przez głowę, ale się w porę odchyliłam. Wtedy machnął ręką, wziął nogi za pas i tak szybko zbiegł po schodach, aż się za nim kurzyło. Mówię, że brakował ułamek sekundy i byłoby po mnie. Już pani by ze mną nie

rozmawiała — roztkliwiła się nad sobą i lzy pociekły jej z oczu.

— Droga pani Walerio, proszę już o tym nie myśleć. Istotnie groziło pani niebezpieczeństwo, ale go pani uniknęła. Na szczęście nie odniosła pani żadnych obrażeń. Doleję trochę rumu do herbaty i zaprowadzę panią do łóżka. Najlepiej będzie jak się pani położy.

— Czy zawiadomi pani milicję? — zaniepokoiła się. — Taki zbrodniarz może tu wrócić, jak nie do pani, to do mnie, albo do Wąsikowej. Widać grasuje po tej ulicy. Niech dzielnicowy ma na nasz dom oko. Ale czego on właściwie u pani szukał? Przecież chyba nie dolarów i złota? A może pomylił nasze drzwi? — to przypuszczenie przyprawiło panią Wiśniewską o nowy atak febry, jako że musiała trzymać gdzieś w pończosze cały dorobek swojego życia.

— On na pewno już teraz nie wróci, myślę, że w gruncie rzeczy bardziej się zląkł od pani — powiedziałam uspokajająco.

Kiedy zgnębiona wdowa opuściła moje mieszkanie, obejrzałam zamki przy drzwiach. Jeden wyglądał na trochę nadpiłowany jakimś ostrym narzędziem. Tylko zapobiegliwości i pieczołowitości Edwarda zawdzięczałam, że to włamanie się nie udało.

W swoim czasie bowiem zainstalował istną baterię zamków i zasuw ze „skarbcem” na czele. Zastanawiałam się przez chwilę nad celowością złożenia meldunku na milicji o próbie włamania, ale doszłam do wniosku, że byłoby to na razie niepotrzebne posunięcie. Napad nie doszedł do skutku, został udaremiony, natomiast pani Waleria musiałaby składać zeznania w Urzędzie Spraw Wewnętrznych, co naraziłoby ją na nowy stres.

W tym momencie rozległ się ostry dzwonek telefonu. Natychmiast podniosłam słuchawkę.

— Jezus Maria, Sława, przyjeżdżaj! Ktoś mnie pobił w moim mieszkaniu! Jestem zmasakrowana, nie widzę na jedno oko!

— usłyszałam rozpaczliwie brzmiący, płaczliwy głos

Renaty.

Najpierw zatrzęsły się pode mną nogi, potem zaschło mi w gardle. Błyskawicznie skojarzyłam oba wydarzenia i zrozumiałam, że wiążą się w jedną, nierozzerwalną całość. Oprawcami Renaty musieli być członkowie szajki, do której należała Maja. Postanowili załatwić nas obie — Renatę i mnie jednocześnie, aby mieć nas z głowy. Wiedzieli, że ich śledzimy. Teraz, po niewczynie, uświadomiłam sobie jak słusznie ostrzegwał mnie pułkownik Serwicz, żebym nie mieszała się do tej afery. Ja zaś nie tylko nie usłuchałam jego rady, ale ufna w posłannictwo agenta śledczego, zdolnego do wykrycia mordercy i zdekonspirowania międzynarodowej szajki przestępczej, pociągnęłam za sobą, jako ofiarę, Renatę. Obecnie pozostawało mi jedno do zrobienia: zaopiekowanie się Renatą i przyście jej z jak najdalej idącą pomocą. Przed wszystkim jednak musiałam ustalić, jak wielki uszczerbek na zdrowiu poniosła nieszczęsna dziewczyna, którą wpakowałam w tak poważną kabałę.

— Co ci jest?! — ryknęłam tak głośno, że dodatkowo bębenek Renaty znalazł się w poważnym zagrożeniu.

— Nie krzycz tak — pożałowała się — nawet nie wiem czy mam jakąś część ciała w porządku. Leżę teraz na podłodze i telefonuję. Nie wiem co robić.

— Wezwałeś pogotowie?

— Nie, bo już nie mam siły. Przyjeżdżaj!

Otworzyła mi drzwi, chwając się na nogach, jakaś zjawa z rozwianym włosom o sinoczarnej twarzy, zezująca na jedno oko. Na razie w ogóle nie mogłam jej poznać, gdyż wzdęty jak balonik lewy policzek przesłaniał drugie oko wraz z brwią. Domyśliłam się, że jest to opuchlizna powstała wskutek mocnego uderzenia. Na szczęście gałka oczna nie była naruszona. Natychmiast zrobiłam jej okład z kwasu bornego, zaparzyłam rumianku i przemyłam oko przy akompaniamencie jej nieustannych zawodzeń i płaczu. Potem obejrzałam inne części ciała Renaty, obfitujące w rozmaitej wielkości siniaki, świadczące o tym, że ktoś jej zdrowo przyłożył.

—No, teraz to naprawdę będziesz miała dłuższe zwolnienie — stwierdziłam po dokonaniu oględzin.

— Ty żartujesz, a ja umieram. Czuję, że mam krwotok wewnętrzny — oświadczyła, wydając z siebie straszliwe jęki.

— W takim razie jedziemy natychmiast na pogotowie. Nie wykluczone, że coś w środku pękło.

— Rany Boskie! — i ty to mówisz tak spokojnie, jesteś bez serca. Poczekaj trochę, może mi przejdzie. Nie mogę się na razie ruszać.

Pomogłam jej się rozebrać i ułożyłam ją na tapczanie. W kawalerce, którą zawsze sprzątała z przesadną starannością, doprowadzając do stanu lśnienia podłogę i zdmuchując każdy pyłek z mebli, panował nieopisany bałagan. Na dywanie leżał zakiet, beret, torba oraz siatka z zakupami. Świeżo zakupione bułki potoczyły się aż pod szafę. Wysunięte szuflady w regale z porozrzucaną zawartością wskazywały na to, że ktoś w nich niedawno grzebał. To samo spotkało szafę. Swetry, koszule, reformy poniewierały się po podłodze skłębione w jedną masę. Kiedy wypila parę szklanek herbaty i wróciła jako tako do równowagi, zaczęła chaotycznie relacjonować przebieg wypadków.

— Wyszłam po pieczywo do sklepu i po mięso na kartki. Może półtorej godziny stałam w kolejce. Baby tak się pchały i kłóciły, myślałam, że mi połamią kości.

— To może od tego masz te siniaki na ciele — usiłowałam żartem rozproszyć ponurą atmosferę.

— Ty zawsze sobie kpisz... Kiedy wchodziłam do mieszkania, zrozumiałam, że coś jest nie w porządku, bo drzwi były zamknięte tylko na zatrzask. Ledwo przestąpiłam próg, a jakiś chłop wyskoczył z pokoju i z całej siły huknął mnie w ciemność, aż zobaczyłam wszystkie gwiazdy, potem czymś twardym uderzył mnie kilka razy gdzie popadło i wybiegł. Nawet nie zdążyłam krzyknąć, a już go nie było. Mieszkam tu tyle lat, i dotąd nigdy mnie nic złego nie spotkało, żaliła się, raz po raz stękając z bólu.

— Zawsze ci mówiłam, żebyś założyła lepsze zamki — zauważyłam — ale pociesz się. Dziś o tej samej porze ktoś

również usiłował się włamać do mojego mieszkania, tylko spłoszyła go sąsiadka — pani Wiśniewska. O mało co przez to nie padła trupem, gdyż napastnik chciał ją uderzyć w głowę pękiem wytrychów.

— Ojejku, Sława, co to znaczy? I mnie i ciebie chciano obrabować jednocześnie...

— No, proszę, główka pracuje. Od tego wstrząsu coś ci przejaśniało w mózgu. Czasem tak bywa. Zrozumiałe, że zaplanowano na nas napad i to w godzinach, kiedy zwykle nikogo nie ma w domu. Ten bandzior nie wiedział, że masz zwolnienie lekarskie, zawsze o tej porze siedzisz przecież w aptece. Domyślasz się, kto jest inicjatorem tych włamań?

— Nie bardzo. Może jakiś gang młodocianych...

— Jednak nadał kiepsko z twoją wyobraźnią. Nikt inny tylko Radziw Khan and Company, czyli szajka, która wykończyła Maję.

— Więc oni nas też chcą zabić?

— Początkowo myślałam, że im o to chodzi, bo się zorientowali, że ich śledzimy, ale teraz widzę, że chcieli przeszukać nasze mieszkania.

— Rozumiem. Oni sądzą, że ten Koh-i-noor jest u którejś z nas.

— Właśnie, jednak baśka w porządku. Szukają jak wściekły tego skarbu, spodziewają się, że Maja dała nam go na przechowanie. Przy okazji mogliby nas sprzątnąć, jeśli byśmy się im napatoczyły pod rękę. Mnie na szczęście nie było, ale ty rzeczywiście mogłaś paść ofiarą tych bandytów.

— Przestań, bo mnie zaczyna mdlić ze strachu.

— Słuchaj, ja muszę o tym wszystkim zawiadomić pułkownika Serwicza, nie możemy tych faktów zataić przed władzami, na pewno mają istotne znaczenie dla śledztwa prowadzonego w sprawie zabójstwa Mai. Powiedz, czy mogłabyś rozpoznać swojego napastnika?

— Ale skądże. W przedpokoju było zupełnie ciemno. Mignęły mi tylko przed oczyma jakieś nogi w dżinsach i kołtuniasta głowa. Potem w ogóle przestałam widzieć na jedno oko i chyba na chwilę straciłam przytomność.

— A więc wysłali do roboty dwóch jednakowo ubranych facetów w dżinsowych garniturach, żeby w razie czego trudniej było ich zidentyfikować. Oczywiście nie wiesz, czy coś ci zginęło?

— No nie, przecież nie mogłam jeszcze sprawdzić, myślałam, że za chwilę umrę.

— Dobra. Leż spokojnie. Ja dzwonię.

Pułkownik Serwicz odezwał się głosem, który zawsze wprawiał mnie w konsternację.

— Dzień dobry, panie pułkowniku, mówi Grzybowska. Przepraszam, że znów pana niepokoję, ale dzisiaj dokonano dwóch napadów: na mnie i na Renatę Kowalską — przyjaciółkę moją i Mai Bożynieckiej. Jakiś bandzior usiłował sforsować zamki przy moich drzwiach, ale został przyłapany przez sąsiadkę, panią Walerię Wiśniewską, natomiast do Renaty Kowalskiej dostał się jakiś osobnik podczas jej nieobecności, splądrował wszystkie szafy i uderzył ją czymś ciężkim w oko, kiedy wróciła niespodziewanie do domu.

Nie wiem, jak moja relacja z przebiegu wypadków zabrzmiała w uszach pułkownika, ale obudziłam w nim żywe zainteresowanie.

— Z tego co pani mówi — wnoszę, iż sprawa przybrała dość poważny obrót i wymaga szczegółowego zbadania. Czy panie złożyły już meldunek o tych zajściach w swoich komisariatach?

— Nie, to wszystko stało się niecałą godzinę temu. Akcja rozegrała się prawie jednocześnie w obu lokalach. Przyjechałam, wezwana przez przyjaciółkę, która potrzebowała natychmiastowej pomocy, zupełnie straciła panowanie nad sobą i zadzwoniła do mnie zamiast do Pogotowia Ratunkowego. Jestem teraz u niej.

— Rozumiem. Proszę niczego nie ruszać, zaraz przyślę ekipę techniczno-dochodzeniową, celem zabezpieczenia odcisków palców i innych śladów, które posłużą do wytropienia przestępców. Proszę podać adres przyjaciółki.

— Grójecka 151 m 16. Panie pułkowniku, jestem pewna,

że oba te napady mają ścisły związek z zabójstwem Mai Bożynieckiej — nie mogłam pohamować swojego języka i nie podzielić się z Serwiczem moimi spostrzeżeniami. — To ta sama szajka, która ją zgładziła, przetrząsnęła teraz mieszkanie Renaty i chciała się dostać do mojego. To jasne, że oni czegoś szukają i nie mogą dotąd znaleźć.

— Bardzo to pani plastycznie przedstawiła. Być może, że te wnioski nie są pozbawione słuszności. Prosiłem jednak, żeby pani zaniechała śledztwa na własną rękę, ale to nie poskutkowało. Jest pani niepoprawna, pani Sławo. Na razie zegniam — połączenie zostało przerwane.

Rozdział VII

Jednak pani Wiśniewska musiała złożyć zeznania w Urzędzie Spraw Wewnętrznych, choć chciałam zaoszczędzić jej wzruszeń. Również spotkało to Renatę; ponadto w jej mieszkaniu milicja skrupulatnie zbadła wszystkie ślady, przepukała ściany, zdjęła odciski palców, wśród których zapewne poczesne miejsce zajmowały moje, w związku z udzieloną poszkodowanej pierwszą pomocą „lekarską”.

Po licznych konsultacjach połączonych z prześwietleniami, okazało się, że na szczęście Renata nie odniosła poważniejszych obrażeń, naruszających czynności i substancję jej organów wewnętrznych. Również kości nie uległy uszkodzeniu. Jednak wobec kompletnego załamania psychicznego, napadów lęku i ataków hysterii, musiałam się nią zaopiekować i codziennie odwiedzać w domu, dopóty, dopóki siniaki i opuchlizna nie zeszły jej z twarzy. Potem momentalnie wróciła do swojej ulubionej pracy i miałam święty spokój.

Pewnego wrześnieowego poranka pułkownik Serwicz poprosił mnie do siebie.

— Śledztwo w sprawie śmierci pani Marii Bożynieckiej, które tak bardzo leży pani na sercu, nie zostało jeszcze zakończone. Czynimy wszystko, aby ująć przestępcę. Mówię to ze względu na pani emocjonalne zaangażowanie w tę

sprawę.

— Więc nie aresztował pan jeszcze tego przekłętego Khana, ani jego czarnowłosej przyjaciółki Inez Diaz? Mało, że zamordowali Maję, to na dokładkę omal nie ukatrupili mnie i Renaty. Czy to nie wystarczające dowody ich winy — wybuchnęłam, nie mogąc powstrzymać rosnącego we mnie oburzenia.

— Pani ma dar obrazowego i bezpośredniego przedstawiania swoich poglądów i spostrzeżeń — uśmiechnął się lekko pułkownik. — A więc zdążyła już pani rozszyfrować Inez Diaz? To istotnie bardzo malownicza postać. Istnieją wprawdzie pewne poszlaki wskazujące na osobę mordercy, ale nie wystarczające. Niestety brak podstaw do stwierdzenia związku przyczynowo-skutkowego pomiędzy działaniem tej pary a dokonanymi przestępstwami. Zapewniam panią, że z wielu względów interesujemy się tymi osobami. Przepisy stoją na straży nietykalności osobistej obywateli państw obcych, jeżeli nie zostanie stwierdzone oczywiste naruszenie przez nich obowiązującego w Polsce prawa, lub jeżeli nie zostaną złapani na gorącym uczynku łamania porządku prawnego.

— Całe to wasze prawo jest w takim razie absolutnie bezduszne. O mały włos, a mielibyście dwa następne trupy, Renaty i mój, względnie Bogu ducha winnej Walerii Wiśniewskiej i okazję do zastanowienia się, czy Singapurczyk i jego ukochana maczali w tym palce. Zresztą nie wiadomo, czy nie dostarczymy wam ponownie tej przyjemności — kontynuowałam swoje przemówienie, dziwiąc się w duchu własnej śmiałości.

Pułkownik przyjrzał mi się uważnie i nagle przestał się uśmiechać. Widocznie jednak przeholowałam w swoim zamiętaniu. Czułam, że należy mi się lekcja dobrego wychowania.

— Proszę przyjąć do wiadomości, że obie panie znajdują się pod naszą ochroną i nie grozi paniom niebezpieczeństwo utraty życia, pod warunkiem niepopelnienia przez panią jakiegoś nowego, nierozsądnego kroku. Smuci mnie pani brak zaufania do naszej

operatywności i celowości posunięć, choć rozumiem pani intencje jak najszybszego pomszczenia śmierci przyjaciółki. Jednak naszym obowiązkiem jest przestrzeganie nienaruszalnych zasad prawa, które znalazło się pod ostrzałem pani śmiałej krytyki. Ponieważ rozmowa dzisiejsza ma charakter nieoficjalny, udzielę pani pewnej rady: niech pani wraca do normalnego trybu życia i postara się oderwać od nurtującej panią zagadki śmierci Marii Bożynieckiej.

*

Ostatnio wszystko szło jak po grudzie. Praca rozlażyła się w palcach, w wykonywanych przeze mnie kompozycjach graficznych brakowało inwencji, rzutkości i pomysowości. Po podłodze fruwały zgniecione arkusze papieru z nieudanymi próbami mojej twórczości. Zamówienia opakowań dla „Cepelii” i kopert do płyt dla „Polskich Nagrań” pozostały nie zrealizowane, a ja pewnego ranka obudziłam się ze świadomością, że jeśli coś nie zmieni się radykalnie w mojej egzystencji, to nabawię się kompleksu niższości i zamknę sama w sobie, jak żółw w skorupie. Jedną z przyczyn takiego stanu był niewątpliwie brak adoratora, który by urozmaicał monotonię dnia powszedniego. Do tej pory, raczej z małymi tylko przerwami, kręcił się koło mnie jakiś fatygant, towarzysz spotkań kawiarnianych, wypadów do teatru, zaspakajający komplementami i pochlebstwami moją wrodzoną próżność. Platoniczna forma tego rodzaju zalotów, zupełnie mi wystarczała, gdyż sparzyłam się już na gorących przeżyciach w sferze intymnej i na razie miałam ich dosyć. Tymczasem w tej dziedzinie zapanowała kompletna pustka, żadne męskie ramie nie zjawilo się abym mogła na nim oprzeć skolataną głowę. Oglądając się w lustrze, nie dziwiłam się aktualnemu brakowi zainteresowania płci odmiennej moją nadwerżoną urodą, wyglądałam bowiem wręcz fatalnie: błada ponura, ze złym, pełnym pretensji do całego świata wyrazem oczu.

Zdzisław, oczywiście, zgodnie z moimi przewidywaniami, nie odezwał się więcej. Zresztą nie pragnęłam, aby mnie zobaczył w

tak złej formie.

Na ulicy, w sklepach, nawet w lokalach urzędowych czułam natomiast czyjąś stałą obecność przy sobie, choć nie mogłam zidentyfikować żadnej osoby i odróżnić niczyjej twarzy. Rozumiałam, że to zapowiedziana przez Serwicza ochrona mojej cennej osoby przed zbrodniczymi zakusami gangu Khana. Parę razy jednak mignęła mi w pobliżu jakaś postać, wyraźnie pochodzenia afrykańskiego, bądź azjatyckiego, co mogło sugerować, że interesują się mną nie tylko nasze organy bezpieczeństwa. Nie wykluczone, że był to tylko przypadek, albo gra podnieconej wyobraźni. Po pewnym czasie dziwnie zobojętniałam na wszystko. Śmierć Mai i moje emocje związane z wykryciem jej mordercy, wydały mi się naraz odległe.

Aby otrząsnąć się z marazmu, postanowiłam zastosować, jako antidotum, wyjazd do Szwecji. Zawsze taka podróż może dobrze wpłynąć na regenerację moich zaśniedziałych komórek mózgowych. Na szczęście zaproszenie od Barbary, siostry Edwarda jeszcze nie straciło ważności, pozostawało ją uprzedzić telefonicznie o zamierzonym przyjeździe. W tym celu połączyłam się ze Sztokholmem przy pomocy kierunkowej ósemki i natychmiast usłyszałam głos podający w języku szwedzkim numer telefonu wyraźniej, niż gdybym dzwoniła na ulicę Puławską w Warszawie.

— Serwus Barbara, mówi Sława, żona Edwarda!

— O dzień dobry, nareszcie się odezwałaś — niski alt z lekkim cudzoziemskim nalotem, ale brzmiący przyjemnie.

— Czy masz nadal chęć, żebym przyjechała?

— Oczywiście. Ja i Olaf czekamy cię niecierpliwie — mały błąd gramatyczny, ale nic dziwnego w sytuacji, kiedy się ma od dwudziestu pięciu lat męża rodowitego Szweda.

— W takim razie przyjeżdżam promem „Polonus” dwudziestego piątego do Nynashamn. Mam nadzieję, że mnie rozpoznacie.

— Trzymaj w ręku coś czerwonego dla pewności. Strasznie jesteście ucieszeni, ja i Olaf. Będziemy autem.

— Ja również się cieszę. Do zobaczenia.

Upewniwszy się o gotowości przyjęcia mnie przez Barbarę i

Olafa Gerdmanów w ich domostwie sztokholmskim, odzyskałam natychmiast część utraconego wigoru i poleciałam do Morskiego Biura Podróży na Chałubińskiego 8. Rezerwacja biletu z noclegiem w kajucie na promie „Polonus” okazała się nadal aktualna ze względu na zmniejszony ruch turystyczny pod koniec października.

W domu rozpoczęłam przegląd garderoby nadającej się zarówno na podróż, jak i na pobyt u państwa Gerdmanów. A więc: dwa swetry, jeden na siebie, drugi do walizki, dwie bluzki, dwie spódnice, jedna elegantsza sukienka, tak zwana mała czarna, na wypadek gdyby Barbarze i Olafowi strzeliło do głowy urządzić na moją cześć jakieś ekskluzywne przyjęcie, albo wziąć mnie do lokalu, czy do któregoś ze swoich przyjaciół. Oczywiście dwie pary obuwia, bielizna, w prezencie moja grafika, lniany obrus z „Cepelii”, prawdopodobnie do zalegania w szufladzie wśród innych tego typu podarków z Polski. A co na siebie? Bezwarunkowo wiatrówka, ale psiakość trochę podniszczona i przybrudzona — żaden model z „Mody Polskiej” czy „Telimeny”. Jak tu w tym godnie zaprezentować nasz styl ubierania się przez kobiety w wieku, ogólnie mówiąc, lekko pobalzakowskim. I... nagle mój wzrok spoczął na połyskującym w czeluściach szafy zapomnianym futrze. Spoczął i przylgnął do niego łakomie i z zachwytem. Beżowe, mięciutkie, cieniowane brązem, lekko zakołysało się jak żywe stworzenie przy wyjmowaniu sukienki. Czy mam prawo uważać je za swoją własność? Chyba tak, skoro ofiarowała mi je Maja, a Jerzy nie rości do niego pretensji. I oto pokusa i wewnętrzne pytanie: Czy wziąć je w podróż, wystroić się jak *grandę danie*, albo raczej przekupka z bazaru, obnosząca na pokaz luksusowe ubrania i kosztowności. Czy to nie będzie zbyt *shocking*, jak na stosunki, normalnego, szwedzkiego stylu życia?

Niezależnie od różnych duchowych zmagania z poczuciem smaku i dobrego tonu, ręka moja drapieźnie powędrowała do szafy i za chwilę stałam przed lustrem otulona norkami, jak Elisabeth Taylor przed ślubem z Richardem Burtonem,

elegancka, smukła, odmłodziła. Nawet moje ostatnio zgaszone oczy nabrały swoistego blasku, jaki roznieca przeświadczenie o własnym, atrakcyjnym wyglądzie i związana z tym pewnością siebie. Było mi w tym futrze przyjemnie, choć niezbyt lekko, bardzo ciepło, na skutek wysokiej temperatury panującej w pokoju, po rozpoczęciu już sezonu ogrzewczego. Na pokładzie promu, wśród porywu wiatru i w ostrzejszym niż u nas klimacie, na pewno okaże się niezastąpione. A zresztą czy nie wolno mi raz w życiu zagrać roli kobiety opływającej w dostatki, nie liczącej się z wydaniem kilku milionów na zakup futra, jak artystki Hollywoodu, a przynajmniej gwiazdy polskiego kina.

W wyniku tych rozmyślań i po pokonaniu wewnętrznych oporów, wiatrówka na wszelki wypadek powędrowała do torby podróżnej i decyzja o włożeniu na grzbiet nerek zapadła prędzej, niż sama się tego po sobie spodziewałam.

Ponieważ prom „Polonus” odpływał z Gdańska, postanowiłam przy okazji odwiedzić moją bliską koleżankę z Akademii Sztuk Pięknych — dość już znaną i wybijającą się malarzkę w środowisku artystów Wybrzeża — Dankę Owińską i jej męża Wiesława — inżyniera elektronika, w cichej nadziei, że Wiesław podwiezie mnie swoją Mazdą do portu gdańskiego.

Owińscy mieszkali w Orłowie, w domku jednorodzinnym odziedziczonym przez Wiesława po rodzicach, położonym tak blisko morza, iż z daleka wyglądał jakby oblewały go fale. Było to tylko złudzenie wzrokowe, gdyż znajdował się od Bałtyku w przyzwoitym oddaleniu, wystarczającym jednak, aby jego mieszkańcom reumatyzm ponadgryzał wszystkie kości. Mimo to Owińscy, jak dotąd ze swoim licznym potomstwem w liczbie czterech sztuk, czuli się znakomicie, promienieli radością życia, tryskali energią.

Wiesław przyjechał na stację swoim śnieżnobiałym autem, wyczałował mnie „z dubeltówki” i nie przestając ani na chwilę rozprawiać na różne tematy, związane szczególnie z bujnym rozkwitem talentu Danki i jej najnowszymi osiągnięciami w uprawianej dziedzinie sztuki (zakochany w niej po uszy, jak w

momencie ślubu przed piętnastoma laty), zawiózł mnie z pompą i paradą pod samą willę.

Danka wyczekująca naszego przybycia z niecierpliwością w oknie, zbiegła ze schodków w jakiejś salopie-kitlu poplamionym różnymi kolorami farb, jak przystało na rasową malarkę, i rzuciła mi się na szyję z głośnymi okrzykami radości. Zawsze ceniłam w niej to, że umie tak bezpośrednio i żywiołowo wyrażać swoje uczucia. Za nią leciał w podskokach, szaleńczo ujadając, ulubiony pies Wisior, stanowiący mieszaninę pudła z jamnikiem, zaś koło jej nóg płątał się mniej więcej dwuletni potomek płci męskiej, ucieszony moją wizytą tak jak mama, aczkolwiek widział mnie po raz pierwszy w swoim życiu. Widocznie uosabiałam w jego dziecinnej wyobraźni jakąś symboliczną ciocię, której przybycie do domu stanowi zapowiedź nowych, interesujących wydarzeń, odbiegających od monotonii jego krótkiego żywota.

Danka po pierwszych wybuchach radości wywołanej pojawieniem się mojej osoby, odsunęła się ode mnie na odległość kilku kroków i otaksowała okiem profesjonalistki.

— Wyglądasz jak primabalerina Operetki Wiedeńskiej — oświadczyła.

— Czyś ty dostała jakiś spadek?

— Nie mylisz się — odparłam zgodnie z prawdą. Jednak te diabelskie norki robią na wszystkich silne wrażenie.

W hallu, aż roilo się od potomstwa, przynajmniej tak oceniłam to ja — bezdzietna wdowa. Pięcioletni Jacek pędził właśnie cwałem na koniu na biegunach, a siedmioletni Marcin zjeżdżał z narażeniem życia po poręczy. Tylko dziesięcioletnia Kasia z powagą młodej damy dbającej o swój wygląd zewnętrzny, a szczególnie o spływające na ramiona blond włosy, schodziła dostojnie z książką w rękę, po schodach.

Cała gromadka natychmiast zajęła się konsumowaniem przywiezionych przeze mnie czekolad, nie wyłączając Kasi, która w tym momencie zapomniała o powadze obowiązującej ją z racji płci i statusu najstarszej z rodzeństwa. Danka zaciągnęła mnie do swojej pracowni malarskiej, a Wiesław pośpieszył do kuchni, aby przygotować posiłek dla całej czeredy. Czynił to od

lat, nie narzekając na swój los pantoflarza, jako że jego umiłowana połowica, zapamiętała w swojej twórczości, żyła w oderwaniu od świata i jego cielesnych potrzeb. Nie widziałam nigdy bardziej zgranego i kochającego się małżeństwa, przepelnionego wyrozumiałością dla wad i dziwactw swojego partnera, a jednocześnie wzajemnym uwielbieniem. To się zdarza tylko w powieściach.

W pracowni Danki na poddaszu stało kilka sztalug z rozpiętymi płótnami, przedstawiającymi najczęściej krajobraz morski przed burzą, w czasie burzy i po burzy. Jednak koloryt tych obrazów, ich specyficzny, niepokojący klimat, ekspresyjność i wyrazistość pejzażu, kwalifikowały je do rzędu małych arcydzieł.

Wyraziłam swoje uznanie, co wywołało rumieniec na twarzy wrażliwej i uczuciowej Danki.

— Na długo jedziesz do Szwecji? — zapytała, ochłonawszy po moich komplementach.

— Na dwa tygodnie. Nie chcę dłużej siedzieć Gerdmanom na karku, w końcu znamy się tylko z fotografii. Mogę się któremuś z nich nie spodobać co stworzyłoby kłopotliwą sytuację. Zresztą najwyższy czas, abym się wzięła do pracy. Ostatnio zaniedbałam się kompletnie, nic mi nie wychodzi, przeżywam okres zupełnego zniechęcenia.

— Słuchaj, zdejmij te norki, już ci mówiłam, że wyglądasz w nich fantastycznie, zupełnie jak członkini angielskiej rodziny królewskiej, ale musi ci być w nich piekielnie gorąco, bo się spociłaś. Daj, to ci je powieszę.

Posłusznie zsunęłam z ramion futro, które Danką beczceremonialnie ulokowała na wieszaku stojącym w pobliżu palet z farbami.

— Wiesiek coś przygotowuje do zjedzenia, a potem cię odwiezie do portu gdańskiego. Mam nadzieję, że w drodze powrotnej zanocujesz u nas. Dopiero się nagadamy!

— Jeżeli tylko pozwolisz.

— Ach, już się na to cieszę, widzujemy się tak rzadko. Ale mówiłaś przed chwilą, że masz jakieś zahamowania w pracy. Z jakiego powodu? Może się znów zakochałaś i twój

nowy obiekt zanadto cię absorbuje? Żebyś nie zapomniała ci powiedzieć. Masz pozdrowienia od Witka. Stale się o ciebie wypytuje. Muszę go zaprosić, kiedy będziesz wracała ze Szwecji. Ostatnio fantastycznie mu się powodzi, buduje sobie domek na Karwinach.

Witek to brat Wiesława, starszy od niego o dziesięć lat, wdowiec, którego parę razy widziałam u Owińskich. Zostało mi w pamięci przyjemne spojrzenie szarych oczu, budzące z miejsca zaufanie do wszystkich jego poczynań, elegancka sylwetka i ujmujący sposób bycia. Słowem mężczyzna ideał, na którego opiekuńczym ramieniu każda kobieta chciałaby się oprzeć. Coś w rodzaju Edwarda, tylko w o wiele ciekawszej, cielesnej powłoce. Z zawodu architekt, prowadził jakąś firmę budowlaną na Wybrzeżu z udziałem kapitału zagranicznego. Obrotny, przedsiębiorczy, zaradny. Jedyne dorosłe dziecko w Ameryce. Aż dziw, że od siedmiu lat pędził samotny żywot i uchował się od zakusów babek, polujących zajadle na tego rodzaju facetów. Oczywiście absolutnie nie wierzyłam w jego specjalne zainteresowanie moją osobą. Po prostu Danka, poczciwa dusza gotowa wszystkim bliskim nieba przychylić, posiadała między innymi umiejętność uszczęśliwiania bliźnich dzięki wrodzonej smykałce do swatania i kojarzenia par. Stąd w jej wyobraźni zrodził się pomysł, że spodobałam się Witkowi.

— Wiesz chyba, że Maja nie żyje? — powiedziałam ni stąd ni z owąd.

Twarz Danki spochmurniała. Nie lubiły się wzajemnie z Mają. Może jakąś rolę grała dziewczęca zawiść o moje uczucia. Zawsze przedkładałam nad wszystkie inne stosunku koleżeńskie przyjaźń z Mają. Potem, kiedy wydarzyła się ta historia z Jurkiem, szok spowodowany jego nagłym odejściem, świństwo jakie mi wyrządziła Maja — Danka podała mi pomocną dłoń, stała mi się bliższa i bardziej potrzebna niż przedtem. Renata stanowiła jakąś nierozzerwalną część mojego ja, ale nigdy nie mogłam nawiązać z nią intelektualnego kontaktu, wystarczał sam fakt, że istnieje w pobliżu, natomiast z Danką łączyła mnie pełna wzajemnego zrozumienia serdeczność, choć znałyśmy się o wiele krócej, tylko z uczelni.

Słyszałam o tym — odpowiedziała na moje pytanie.

— Co jej się stało?

— Ktoś ją zamordował.

— Coś takiego? — zdziwiła się, ale nie zdążyła uzyskać ode mnie więcej informacji, gdyż w tej chwili do pokoju wczłogał się na czworakach dwuletni Boguś z twarzą całkowicie zasmarowaną czekoladą, aż po białka oczu i zakomunikował z dumą swojej matce — Boguś też maluje...

Dalsza część dnia przebiegała nadzwyczaj przyjemnie wśród pisku dzieci, chóralnych wybuchów śmiechu Danki i Wiesława, na ogół z byle czego, jakby nadal byli parą studenciaków, a nie poważnym małżeństwem z kilkunastoletnim stażem. Nic dziwnego, że przybyłam wraz z Wiesławem do portu gdańskiego niemal w ostatniej chwili, kiedy na promie „Polonus” melodyjny głos stewardessy ogłaszał przez megafon: osoby odprowadzające pasażerów proszone są o opuszczenie promu.

„Polonus” biały i wypolerowany na najwyższy połysk, jako że odbywał jeden ze swoich pierwszych rejsów, dumnie połyskiwał na fali. W hallu znajdowało się niewiele osób, gdyż do tej pory wszyscy zdążyli już załatwić formalności związane z zakwaterowaniem i zaaprowizowaniem. Panienska w recepcji, ładna, starannie umalowana, w urzędowym mundurku, rozmawiała właśnie z ożywieniem ze swoim kolegą, czarnowłosym młodzieńcem o przyjemnej aparycji, godnie reprezentującym polską flotę na Bałtyku. Zauważyłam, nie bez pewnej satysfakcji, że obrzucił moją sylwetkę zainteresowanym spojrzeniem zdobywczego samca, ale zaraz doszłam do wniosku, że sprawiły to norki reklamujące rzekomą zasobność mojej kieszeni, a nie fascynująca uroda.

Po stwierdzeniu, że na razie jestem jedyną pasażerką kajuty, wyrzalam na długi, silnie oświetlony, wąski korytarz wysłany czerwonym chodnikiem. Przez całą jego długość po obu stronach widniały drzwi kajut. Nigdy dotąd nie płynęłam promem, postanowiłam więc zrobić mały rekonesans. Na przeciw mnie szły dwie Cyganki, w błyszczących, obsypanych cekinami bluzkach i w bajecznie kolorowych spódnicach z falbanami, głośno

rozmawiając i gestykulując. Jedna z nich starsza, o ogromnych, sterczących piersiach, spojrziała na mnie z zaciekawieniem, ale natychmiast odwróciła się do swojej towarzyszki, bladej, szczupłej dziewczyny, mającej nie więcej niż szesnaście lat.

W hallu zamykającym korytarz, panował ruch i zgiełk. Pasażerowie nie mający miejsc w kabinach, zaczęli już sobie szykować locum do spania. Jedni zdążyli zająć fotele pod ścianami i porozstawiali wokół siebie liczne bagaże, przeważnie ogromne, przepastne torby, inni rozłożyli leżaki, aby spędzić na nich noc. Jakaś młoda para w śpiworach legła po prostu pokotem na podłodze. Szerokie, wysłane krwistym dywanem schody, wiodły na wyższe kondygnacje promu. Morze nie było zbyt spokojne, bo wchodząc na górę odczułam silne kołysanie.

Na pierwszym piętrze wrzało od ludzkich głosów. Rozpoczął się wyścig o miejsca w kolejce do towarów spożywczych, sprzedawanych za waluty obce, szczególnie za marki zachodnoniemieckie. Nie byłam nimi zainteresowana, więc przesłam się wzdłuż gablot, w których prezentowano różnorodne towary: parasolki, swetry, zegarki elektroniczne, komputerki i sprzęt elektroniczny, drobną galanterię oraz biżuterię ze srebra i złota. Wszystko w cenach o niebo przekraczających moje możliwości płatnicze. Estetycznie porozmieszczane i atrakcyjne — warte jednak były obejrzenia, choćby tylko przez szyby wystawowe.

W bocznych salach, przy barze i stolikach niektórzy pasażerowie popijali wysokokowe trunki, inni grali w ruletkę. Krupier wołał: *Rien ne va plus. Faites vos jeux*, zupełnie jak w kasynie w Monte Carlo. Co prawda niewiele osób zasiadało wokół zielonego stołu, ale panowała tu specyficzna atmosfera, jak w prawdziwym świecie biznesu i dolara.

W innych, mniejszych i większych pomieszczeniach automaty zapraszały do gier, a telewizory do oglądania programu. Najbardziej tłoczono się w sali, gdzie przy bufecie samoobsługowym można się było zaopatrzyć w słono kosztujące kanapki, parówki i inne potrawy, płatne jednak w rodzimej walucie.

Restauracja, w której serwowano śniadania, obiady i kolacje

za uprzednio wykupione bony, stała jeszcze cicha i ciemna, gdyż nie nadeszła pora wieczornego posiłku. Na schodach, prowadzących na następne piętro, Cygan w średnim wieku, o czarnych baczkach i rozbieganych oczach, popychający przed sobą młodziutką dziewczynę, którą poprzednio widziałam na korytarzu, błysnął ku mnie złotymi zębami i otarł się o moje futro, jak kot, albo z nadmiaru rozsadzającego go temperamentu, albo z widocznego upodobania do nerek. Odruchowo otuliłam się nim szczerzej, jakby samo dotknięcie tego osobnika mogło je zdematerializować.

Na najwyższym poziomie znajdowała się sala z fotelami do spania dla podróżnych pragnących zaoszczędzić na wykupieniu miejsc w kabinach, pustawa i ciesząca się stosunkowo małą frekwencją oraz dyskoteka, skąd buchała jazgotliwa muzyka rockowa. Sporo młodzieży podrygiwało w świetle reflektorów, mimo iż nie nadeszła jeszcze godzina rozpoczęcia prawdziwej, nocnej zabawy.

Poza tym zauważyłam kilka wyjść na górny pokład, przeznaczony dla osób spragnionych świeżego powietrza i kilka par drzwi prowadzących prawdopodobnie do pomieszczeń gospodarczych, służących do użytku służbowego, między nimi zaś jedne zaopatrzone w znak Czerwonego Krzyża.

Poczułam, że robi mi się gorąco i duszno, morze stawało się coraz bardziej niespokojne. Schodząc w dół, musiałam mocno trzymać się poręczy. W kajucie zastałam towarzyszkę podróży, która zakwaterowała się w czasie mojej nieobecności — młode dziewczę o utlenionych blond włosach, uczesanych na „owieczkę”, mocno wymalowana, w mini spódniczce odsłaniającej, aż po uda, dość grube nogi, obleczone w czarne, wzorzyste pończochy z „Pewexu”. Kiedy wchodziłam do kabiny, zajęta była wyjmowaniem z granatowej nylonowej torby miniaturowej, różowej koszulki nocnej i rannych pantofli z różowymi pomponikami.

— Dobry wieczór — powiedziałam — jak widzę, czeka nas wspólna podróż.

— To fajnie, że pani przyszła. Nie lubię jeździć sama. Może się pani poczęstuje? — wyciągnęła ogromną,

szwajcarską czekoladę z orzechami i podała mi zachęcającym gestem.

— Dziękuję, niedługo idę na kolację, szkoda sobie psuć apetyt.

— Ja też idę. ale nic na to nie poradzę, strasznie lubię słodycze. I jem zawsze, kiedy mani na nic ochotę. — Już rozgryzała zębami spory kawałek.

Wyglądała na taką, która w ogóle nie lubi sobie odmawiać wszelkiego jadła i napoju. Spożywa wszystko w nadmiernej ilości. Zaokrąglone kształty świadczyły o wrodzonej tendencji do tycia. Był to niewątpliwie kociak uprawiający najstarszą profesję świata, choć od niedawna startujący w tym zawodzie. Prawdę tę wyczytałam z wyrazu jej już nieco zmęczonej twarzy i silnie podmalowanych oczu.

— Pani do Sztokholmu? — spytała. — Pierwszy raz? Ja też. Mam tam koleżankę, mieszka już w Szwecji trzeci rok. Podobno to niezły rynek. No cóż, pojedę, zobaczą, może na kilka miesięcy. Ja tam nigdy bym nie wyjechała na stałe z Polski, nawet na największy zarobek. Nie zostawiłabym mamusi i rodzeństwa — paplała niepowstrzymanie, nie ukrywając celu swojej podróży, przed dopiero co poznaną osobą, albo z powodu naiwności i głupoty, albo biorąc mnie za starszą koleżankę, o dużym stażu pracy i doświadczeniu. Urażona w swojej godności, postanowiłam przeciąć tę rozmowę i nie odpowiadać na zadawane pytania.

— Ma pani śliczne norki, robione w Polsce? Prawda? Pewno kosztowały masę szmalu, futra strasznie podrożały. Muszę sobie też sprawić.

Dopiero teraz przyszła mi do głowy myśl, że to dzięki norkom, zaliczyła mnie w poczet swoich koleżanek po fachu. Nie była to jednak stosowna pora. ani osoba, aby tłumaczyć się. czy wyjaśniać pochodzenie tak ekskluzywnego okrycia, więc zdecydowałam się milczeć na ten temat.

— Nazywam się Liliana, proszę mi mówić po imieniu — dziewczę dalej dawało upust swej wrodzonej gadatliwości.

— Pójdziemy razem na kolację, dobrze? Nie lubię siedzieć sama. albo z kimś zupełnie obcym, a pani? Nie zależy mi na

zawieraniu tutaj znajomości. Teraz chłopaki jadą na saksy, bez forsy. Zaraz zaczną podrywać i wygłupiać się. a ja jutro muszę być wypoczęta.

Ilona urzęduje w Sztokholmie wieczorem przyjęcie u swojego przyjaciela Franka. To Niemiec z pochodzenia, bardzo bogaty, ma fabrykę proszków do prania. Może nawet wyjdzie za niego za mąż.

Spojrzałam na zegarek, dochodziła godzina dziewiętnasta, najwyższy czas aby udać się na posiłek. Wstałam bez słowa i skierowałam się do wyjścia, licząc na to, że Liliana zrezygnuje z mojego towarzystwa, ale nic podobnego. Nie uznała tego za gest odmowy wspólnego spędzenia reszty wieczoru. Zerwała się też natychmiast z miejsca i podążyła za mną jak wierny psiak.

W restauracji płonęło wiele świateł. Na stolikach paliły się małe lampki, osłonięte kolorowymi kloszami, z kinkietów płynął blask jarzeniówek. Za szybami, z lewej strony i z przodu sali, przewalało się morze, tajemnicze i stopione w jedno z mrokiem, parszcząc w górę potokami piany. Wiele stolików było już zajętych, zauważyłam jednak jeszcze jeden wolny przy oknie. Orkiestra złożona z sześciu muzyków w błękitno-srebrnych garniturach grała właśnie nieśmiertelną „Chattanooga Choo-choo”. Podłoga pod moimi stopami uginała się w rytmie muzyki, meble zdawały się nieco zmieniać pozycje przy każdym ruchu. Stanowczo morze nie okazywało zbyt wielkiej łaskawości dla uczestników tego rejsu do Szwecji. Kelnerzy obojętni na kołysanie, przesuwali się pomiędzy stolikami z tacami pełnymi dymiących potraw. Koło nas zjawił się niebawem wysoki, trzydziestoparoletni blondyn w białym, krótkim fraku i czarnych spodniach. Podał nam *menu* w wiśniowej okładce, zawierające zestawy potraw przewidzianych na kolację. Przy okazji obrzucił nas taksującym spojrzeniem. Na jego przystojnej, zblazowanej twarzy ukazał się porozumiewawczy uśmiech na widok Liliany i nerek otulających moje ramiona, z którymi ani na chwilę nie zamierzałam rozstawać się w podróży. Trudno, skoro zachciało mi się odgrywać rolę milionerki, muszę ze

stoickim spokojem znosić podejrzenia co do uprawianej przeze mnie profesji. Ot co mi przyszło na stare lata.

Szybko zamówiłam bulion, stek i kompot, Liliana dodatkowo krem z bitej śmietany i po kieliszku koniaku na swój koszt, mimo moich stanowczych protestów.

Czekając na kolację, rozejrzałam się po sali. Naprzeciw siedział znajomy Cygan ze swymi trzema kobietami, bo dołączyła jeszcze chuda, wysoka, z orlim nosem. Wszystkie w połyskujących kieckach o krzykliwych barwach, obwieszone koralami i w kolczykach wielkości spodków. Widocznie ten mały harem nie zaspokajał jego męskich potrzeb, gdyż bez przerwy przeszywał mnie ognistymi oczami i niedwuznacznie bawił się wyjętym z kieszeni plikiem dolarów. Zdecydowana nie zwracać uwagi na jego zaloty, odwróciłam głowę w inną stronę i nagle poczułam, że stolik zapada się wraz ze mną w morskie głębiny i świat cały wywraca się do góry nogami. Uczucia tego nie spowodował bynajmniej atak sztormu, ale widok Radziwa Khana i Inez Diaz zajądających się kurczakiem z frytkami dwa stoliki dalej. Początkowo trudno mi było nawet skupić myśli, aby zastanowić się nad ich niespodziewaną obecnością na promie. Chwilę przecierałam gorączkowo oczy, upewniając się czy nie uległam czasem wzrokowej halucynacji wywołanej jakąś odmianą choroby morskiej, ale obraz trwał dalej: Radziw w białym smokingu pochylony nad stołem i oszalamiająco piękna Brazylijka, w szmaragdowo-złotej sukni. Cały ten incydent: moja lekka utrata przytomności połączona z zawrotem głowy i intensywne wpatrywanie się w ciemnoskórą parę, trwał zaledwie kilka sekund, gdyż uszedł całkowicie uwadze Liliany, kończącej właśnie kolejny deser — mrożonego ananasa z puszki.

Pierwsza moja reakcja polegała na gwałtownej złości na pułkownika. Oto wyniki jego nadmiernej tolerancji wobec tych opryszków. Bezkarci, po popełnieniu zbrodni, dają nogę z Polski i w ten sposób unikną odpowiedzialności za swoje nieczne czyny. Potem jednak przyszła następna refleksja, a właściwie pytanie, Czy podróż ich razem ze mną, tym samym rejssem, na tym samym promie ma związek z moją osobą? A

może jest przypadkowa? Odpowiedź nie wypadła dla mnie pomyślnie. Przecież śledzili mnie w Warszawie, a nawet usiłowali w niewyjaśnionych okolicznościach włamać się do mojego mieszkania. Z jakichś przyczyn stanowiłam przeszkodę w realizacji ich dalszych planów. W Polsce strzegła mnie milicja, bali się więc podejmować wrogą akcję bez narażenia się na wpadkę, na terenie Szwecji napaść na mnie stanie się dziecinnie łatwa, chyba żebym krokiem nie ruszyła się z domu Gerdmanów i wtajemniczyła ich w tę całą aferę. W takim razie moja podróż do Sztokholmu okaże się niewypałem. Nie mogę narazić obcych mi w gruncie rzeczy ludzi na niepotrzebne stresy i zakłócić ich spokojnego życia swoimi awanturniczymi sprawami. Jedyne co mi pozostaje — to wrócić tego samego dnia po przyjeździe do Nynashamn „Polonusem” do Polski.

Jeszcze raz spojrzałam na Hindusa i jego bogdankę. Popijali właśnie czarną kawę i musujący napój. Na twarzach ich malował się iście stoicki spokój, absolutnie nie wykazywali zainteresowania moją osobą. Czyżbym niepotrzebnie wpadła w panikę, a spotkanie to zrzucił tylko ślepy traf?

Morze kołysało się pod naszymi stopami coraz gwałtowniej, czasami tylko cichło, jakby zapadając w chwilową drzemkę.

— Strasznie mnie mdli — powiedziała nagle Liliana. Nic dziwnego skoro przez godzinę objadała się słodyczami. Przyjrzawszy się jej stwierdziłam, że zrobiła się bardzo blada, a na czoło wystąpiły jej krople potu. Huśtawka morską mogła też tak wpłynąć na samopoczucie dziewczyny, ja również nie czułam się nadzwyczajnie.

— Za chwilę będę rzygać — oznajmiła. — Muszę zaraz wracać do kabiny.

Nie pozostawało mi nic innego, jak wstać i podeprzeć ją swoim ramieniem. Orkiestra kończyła właśnie grać „Jalousie”, a ja lawirując między stolikami wyprowadzałam z sali głośno stękającą dziewczynę.

Kiedy przechodziłam koło Cyganów, zabójczy brunet zerwał się z krzesła i syknął mi w samo ucho: — Piękna pani przyjdzie do dyskoteki o jedenastej. Będę czekał.

Czekaj sobie sądnego dnia — pomyślałam ogarnięta jednym

pragnieniem jak najszybszego odstawienia do kabiny coraz głośniejszą jęczącej Liliany. Szczęśliwie udało się jakoś dobrnąć na miejsce, ale zaraz potem nastąpiła katastrofa. Nie należało to do przyjemności, ale musiałam ją bez przerwy ratować: trzymać za głowę, chodzić po herbatę, podawać krople. W ten sposób minęła godzina dziesiąta, potem jedenasta. Wreszcie Liliana przysnęła i ja zaczęłam szykować się do snu. Za piętnaście dwunasta wszystko zaczęło się od nowa. Miałam już absolutnie dość roli samarytanki. Czułam, że dłużej nie wytrzymam, a zresztą nie potrafiłam już jej pomóc. Wtedy postanowiłam wezwać lekarza. Ponieważ nie zdążyłam się dotąd rozebrać, narzuciłam na ramiona futro i otworzyłam drzwi na korytarz. Był zupełnie pusty i cichy. Coś strzeliło mi do głowy i zamiast zwrócić się do recepcjonistki, która pełniła dyżur w hallu, wspiełam się bocznymi schodami na drugie piętro, gdzie według wskazówek planu na promie i własnych obserwacji dokonanych w czasie jego zwiedzania, urzędował w nocy lekarz.

Stopnie uciekały mi spod nóg, chybotanie promu stawało się coraz gwałtowniejsze, najwyraźniej o tej porze sztorm przybierał na sile i osiągał punkt kulminacyjny. Na najwyższej kondygnacji, naprzeciw schodów, znajdowało się wyjście na boczny pokład. Świeże, ostre powietrze wraz z silnym podmuchem wiatru chluznęło mi w twarz. Natychmiast poczułam się lepiej, minął zawrót głowy. Nasza kajuta mieściła się po wewnętrznej stronie promu i przez to była dość duszna. Nic więc dziwnego, że powiew od morza wydał mi się zbawczym lekarstwem na zmęczenie, połączone z lekkim zakłóceniem równowagi. W tej samej chwili czyjeś silne ręce schwyciły mnie w pól, ktoś przygiął mnie do podłogi w ten sposób, że nie mogłam ruszyć głową i spojrzeć w górę. Druga para rąk błyskawicznie zdarła ze mnie futro. Potem wszystko przebiegało jak w gangsterskim filmie. Brutalna dłoń wepchnęła mi coś paskudnego do ust, uniemożliwiającego wydobyć głos z krtani, potworny ból przeszył moją czaszkę i ogarnął mnie mrok.

Rozdział VIII

Najpierw otworzyłam jedno oko — ciemność głęboka, nieprzenikniona, potem drugie — to samo, jakby czarna płachta rozpostarła się nade mną. W głowie huczało tysiące młotów, krew mocno, pulsowała w skroniach. W ustach tkwiła nadal jakaś obrzydliwość. Próbowałam poruszyć językiem, żeby ją wypchnąć, ale nie dałam rady, zaledwie mogłam przełknąć ślinę. Po chwili zorientowałam się, że leżę w jakimś ciasnym pomieszczeniu, zamkniętym i całkowicie odizolowanym od świata. Na razie nie wiedziałam gdzie się znajduję, w jakiej części globu, a nawet na jakiej planecie. Kołysanie, jednostajny trzask nad głową uświadomił mi, że płynę promem do Szwecji, i że jakieś zbiry cisnęły mnie do tej komórki w niedwuznacznym celu pozbawienia możliwości poruszania się, a może i życia. Zanosilo się bowiem na to, że jeśli jakimś cudem nie wydostanę się stąd, to najniechybniej wkrótce się uduszę. Czułam, że oddycham nikłą resztką tlenu pozostałego w moim więzieniu, bez żadnego dopływu powietrza, zupełnie jakbym przebywała w kasie pancерnej, albo w innym nie mniej hermetycznym zamknięciu. Chciałam krzyknąć, ale nie mogłam wydobyć głosu.

Powierzchnia mojego przymusowego lokum była tak mała, że czubkiem głowy i stopami dotykałam ściany i drzwi.

Przemknęła mi myśl o Lilianie. Może po dojściu do formy zorientuje się, że nie wracam i rozpocznie wraz z członkami załogi poszukiwania. Była to bardzo krucha nadzieja. Dziewczyna gotowa przypuścić, iż zawieruszyłam się wraz z przygodnym amantem, w którymś z miejsc rozrywkowych na promie i beztrósko pozostawiłam ją własnemu losowi. A może mocno zasnęła, wyczerpana kilkugodzinnymi torsjami i w ogóle nie wie czy wróciłam, czy też nie ma mnie nadal w kabinie. Tak czy inaczej, jeżeli mam zamiar wyjść z tej opresji żywa, muszę zrobić piekielny hałas, aby ktoś mógł trafić na mój ślad. Tylko jak, skoro ręce i nogi mam spętane sznurem?

Nie miałam pojęcia, która jest godzina i ile trwała moja utrata przytomności, ale na pewno zapadła głęboka noc.

Najpierw spróbowałam oswobodzić nogi, ale sznur tylko mocniej wpijał mi się w ciało, potem poruszyłam rękoma i o dziwo, przy wielokrotnych ruchach z dołu do góry sznur zaczął się powoli obsuwać i rozluźniać. Trwało to dość długo, oblewały mnie siódme poty z wysiłku, ale w końcu, ku swojemu nieopisanemu szczęściu, uwolniłam obie ręce. Wyjęłam knebel, spróbowałam doczołgać się do drzwi i zaczęłam w nie walić pięściami. Drzwi musiały być zrobione z żelaza albo innego metalu, tłumiły wszystkie odgłosy. Zrozumiałam, iż w ten sposób niczego nie osiągnę, a najwyżej rozkrwawię sobie ręce. Obmaciałam podłogę w takim zasięgu, jak to było możliwe w pozycji leżącej i natrafiłam na metalowy pręt, tkwiący w samym rogu komórki. Natychmiast zaczęłam bębnić nim z całej siły, z niezłym efektem, bo powstawał silny dudniący huk. Jednak przeliczyłam się ze swoimi możliwościami. Po paru minutach, zaczęły mnie boleć przeraźliwie mięśnie, kark mi zeszywniał, pot mi zalewał oczy. Jeśli za chwilę ogarnie mnie całkowity bezwład, to będzie oznaczał kres mojej ziemskiej wędrówki. Byłabym zapewne ucichła, gdybym nie usłyszała głosów męskich na korytarzu, dochodzących do mnie jak z daleka.

— Posłuchaj, tam ktoś jest zamknięty, wali w drzwi.

— E, zdaje ci się, to łoskot turbiny tak niesie.

Uczyłam ostatni wysiłek i zastukałam kilkakrotnie, najsilniej jak umiałam, nadając coś w rodzaju depezy alfabetem Morse'a. Wtedy ktoś przekręcił klucz w zamku, a ja wypadłam mu pod nogi, jak bezwładny pakunek i natychmiast znów straciłam przytomność. Kiedy ją odzyskałam, leżałam na koi w dużej kabinie, wyglądającej na apartament kapitana promu, wyposażonej w stół, fotele i inne meble.

Nade mną pochylał się Zdzisław Kamiński w mundurze kapitana polskiej Milicji Obywatelskiej i troskliwie rozcierał mi ręce. Obok niego stał starszy mężczyzna w fartuchu, który właśnie chował do torby lekarskiej ampułkę i strzykawkę.

— Już jest dobrze, przychodzi do siebie — powiedział.

— Niech poleży i trochę odpocznie, ja już pójdę.

Udawałam przez chwilę, że jeszcze nic do mnie nie dociera, aby nacieszyć się poczuciem bezpieczeństwa i świadomością, że jest na tym świecie ktoś, kto troszczy się o mnie i dobrze mi życzy. W kabinie paliło się światło, ale przez okienko, za którym szumiało morze, wlewał się jakby blady, szary świt. Zdzisław usiadł na krześle przy moim posłaniu, nie przestając mi się przyglądać. A więc mam przed sobą dzielnego i przystojnego kapitana, który urządził maskaradę, aby podejść mnie podstępem. użyć do swoich celów a przy okazji uciąć mały flircik. A ja, idiotka, łudziłam się przez dłuższy czas, że naprawdę nie jestem mu obojętna. Dobrze mówi stare porzekadło: „człowiek do śmierci się uczy”. Zauważył, że mam otwarte oczy i wyglądam normalnie. Poglądził mnie po rękę i odezwał się miękko:

— Biedna malutka, czy możesz już mówić?

Łypnęłam na niego surowym okiem, choć na pewno w mojej sytuacji wypadło to żałośnie.

— Witam, panie kapitanie — powiedziałam głosem brzmiącym jak zardzewiały zawias. — To prawdziwa niespodzianka, że pana tu widzę.

— Rozumiem, jesteś zaskoczona, usiłował się usprawiedliwić. — To było to, o czym nie mogłem ci wówczas powiedzieć przez telefon: tajemnica służbowa. Musisz mi wybaczyć i wiele zrozumieć, kiedyś o tym bliżej porozmawiamy. Teraz najważniejsze, że żyjesz i czujesz się już całkiem nieźle. Chciałbym, żebyś odpowiedziała na kilka pytań, czy możesz?

Miałam zamiar mu oznajmić, że jest perfidnym łajdakiem, do którego, mimo wszystko, czuję słabość, ale nagle zrobiło mi się wszystko jedno.

— Pytaj — skinęłam głową.

— Czy widziałas kto cię napadł?

— Nie. Dwóch drani skoczyło mi na plecy na drugim piętrze, ściągnęło ze mnie futro, a potem dało mi w łeb. Straciłam przytomność i dopiero obudziłam się w klitce.

Powiedz, dlaczego zależało im właśnie na moim futrze? Nie widzieli w życiu norek, czy co? Chyba nie ja jedna noszę je na świecie.

— Być może nie jest to przeciętne futro. Okaze się, kiedy je odnajdziemy. A stanie się to chyba w ciągu kilku najbliższych minut. Słuchaj, czy rozmawiałaś z kimś wczoraj na promie, a może spotkałaś kogoś znajomego?

— Spędziłam wieczór w towarzystwie uroczego kociaka, jadącego w wiadomych celach zarobkowych do Sztokholmu. Ale to chyba nie ona zwędziła mi norki. Nie mogę uwierzyć, żeby była członkiem jakiejś złodziejskiej szajki. Kilka godzin bez przerwy jechała do rygi, właśnie wyszłam z kabiny szukać dla niej lekarza, kiedy mnie napadnięto. Czy ją podejrzewacie?

— Raczej nie. Może jakiś fakt poza tym zwrócił twoją uwagę?

— Tak. W restauracji urzędował duet — Radziw i Inez. Nie zwracali na mnie uwagi, ale to podejrzanе, że płynię tym samym promem. Nie uważasz? Czy oni mnie tak załatwili.' Tylko co by zależało takiej pięknej dziewczynie na tych cholernych norkach? Ma ich chyba na kopy. Na pewno czułam na sobie dwie pary męskich łap, kiedy mnie obdzierano, chyba nie brała w tym udziału kobieta. Mogą w grę wchodzić jeszcze Cyganie.

— Jacy Cyganie? — zainteresował się Zdzisław.

— Uwiodłam na promie jednego Cygana. Zaczął mnie podrywać i zaproponował mi randkę. Ma się to powodzenie.

— To świetnie, że odzyskałaś już dobry humor. Życzę ci w takim razie udanego pobytu w Szwecji.

— O, co to, to nie. Nigdzie nie pojedę tak ugarniowana na twarzy. Nie będę straszyć ludzi. Wracam dzisiaj „Polonusem” do Polski.

— Zupełnie niepotrzebnie. Radzę ci odwiedzić krewnych czy znajomych, i dobrze odpocząć. Tylko jest jeden szkopuł. Niestety nie będziemy ci mogli zwrócić futra. Czy masz jakieś inne okrycie?

— Wyświechtaną wiatrówkę, w której wstyd się pokazać.

— Nie szkodzi. Wbrew pozorom, Szwedzi nie przywiązują takiej wagi do stroju, jakby się wydawało sądząc po standardzie ich życia. Wystarczy twój urok osobisty.

— Nie kpij sobie ze mnie. Lepiej podaj mi lustro, muszę zobaczyć czy nadają się w ogóle do oglądania.

Zdzisław trochę bezradnie rozejrzał się dookoła, ale zauważył stojące lustro, służące mężczyznom w czasie golenia, i wręczył mi je posłusznie.

Wyglądałam okropnie. Podsiniaczone oko, zaczynające lekko zielenieć. Liczne podpuchnięcia i zadrapania. Na głowie pod palcami wyczułam guz wielkości kurzego jajka.

— I taką gębę mam demonstrować w wytwornym świecie? Przenigdy, wracam!

— Zachowujesz się jak dziecko. Przecież poniosłaś duże koszty związane z podróżą. Szkoda by było wszystko zmarnować. Tego typu obrażenia znikają bardzo szybko. Poleżysz, wypoczniesz, zrobisz sobie kompresy i szybko powrócisz do sił. Zaraz przyślą ci śniadanie. A teraz wybacz, muszę cię pożegnać. Rozumiesz, jestem na służbie.

W tej chwili uświadomiłam sobie jak bardzo przykre jest moje położenie. Zrobiło mi się niesłychanie smutno, nawet zebrało mi się na płacz.

— Zdzisław — powiedziałam. — Ja się boję, okropnie się boję. Przecież ktoś chciał mnie zabić. Wrzucił mnie do tej komórki, żebym się udusiła. Może nie poprzestanie na tym? To na pewno ten Singapurczyk. Wykończył Maję, a teraz zabrał się za mnie. Może jestem głupia, ale czuję, że grozi mi niebezpieczeństwo. Pozwalacie mu bezkarnie chodzić po świecie, a przecież to morderca.

Pochylił się nade mną i pogłaskał dla odmiany po włosach.

— Bądź spokojna. Słowo. Ręczę ci swoim słowem, że ze strony Khana, nic ci już nie zagraża. Do tej pory dobro sprawy wymagało niestosowania wobec niego aresztu.

— Więc powiedz mi co tu jest grane? Co to za historia z tym przeklętym futrem? Przecież mam prawo chyba znać prawdę.

— Oczywiście. Jak wrócisz ze Szwecji, za dwa tygodnie śledztwo już na pewno zostanie zakończone. Wtedy poprosimy cię do siebie i otrzymasz jak najdalej idące wyjaśnienia. A teraz jedź spokojnie do Sztokholmu i o nic się nie martw.

Zmagania z tragicznym stanem mojej twarzy nie zakończyły się całkowitym powodzeniem, choć wyglądałam około trzeciej po południu już znacznie lepiej. Opuchnięcie prawie znikło, zadrapanie przyschło, a staranny makijaż przykrył sinozieloną wybroczyną koło oka. Dorobiłam drugą podobną plamę kredkami do powiek i mogłam ujść w tłoku, choć w sumie robiłam wrażenie wypłosza na urlopie. A tłok w przenośni i dosłownie stał się niesamowity.

Okolo czternastej wszyscy pasażerowie ze swoimi bagażami zeszli do hallu, zatarasowując jedni drugim przejście, jakby błyskawiczne opuszczenie promu stanowiło jedyny cel w ich życiu. Dopiero wtedy okazało się jaka chmara ludzi młodych, starych, dzieci, a nawet niemowląt udała się w podróż. Kiedy Nynashamn ukazało się na horyzoncie dziki tłumek rzucił się bez opamiętania ku wyjściu. Między pasażerami przebijał się zabójczy Cygan, ze swoim babińcem, szczypiąc w tłoku co młodsze i urodziwsze babki po bardziej wypukłych miejscach. Aby uniknąć otrzymania jakiegoś nowego, celnego ciosu w moją uszkodzoną fizys — plecakiem, albo walizą, przyszłam później i ustawiłam się na końcu gromady. Wśród młodzieży ujrzałam Lilianę, już całkowicie zdrową, pod opieką kilku młodzieńców dźwigających na plecach ogromne stelaże.

Po przejściu przez strefę celną, przypomniałam sobie o znaku rozpoznawczym i wyciągnęłam z torby arkusz czerwonej bibułki. W tej chwili tak mało przypominałam siebie z fotografii przesłanej Gerdmanom, że tego rodzaju oznakowanie mojej osoby stało się naprawdę niezbędne. Z daleka, za siatką falował tłum witających, z rękoma podniesionymi do góry w geście powitania, wydający okrzyki radości na widok krewnych i znajomków. Ani rusz w tym kłębowisku nie mogłam rozpoznać Barbary i nawet zrobiło mi się trochę mdło w dołku, co będzie jeśli jej nie spotkam. Do Sztokholmu z Nynashamn

jest dość daleko, a moja forma fizyczna pozostawiała dużo do życzenia. Podniosłam więc jak najwyżej czerwony transparent i maszerowałam z pozornie obojętną twarzą, przez coraz bardziej rzadną garstkę ludzi. Wreszcie od grupy oczekujących oderwała się jakaś srebrnowłosa kobieta, w granatowej znoszonej kurtce, przy której moja czerwono-szara wiatrówka wydała się modelem od Diora i podeszła do mnie, z mocno niepewną miną.

— Czy ty jesteś Sława? — zapytała.

Odczułam niewysłowioną ulgę. — Tak, to ja, Barbaro.

Wzięła mnie w ramiona i uścisnęła serdecznie.

— Wyglądasz trochę inaczej — oświadczyła. — Chodźmy, Olaf czeka w aucie.

Niesłychanie wysoki Olaf o jasnej, siwiejącej czuprynie, bardzo niebieskich oczach i przyjemnym uśmiechu, świetnie prezentował się na tle szarego Volvo. Powitał mnie mocnym uściskiem dłoni.

— Jak podróż? — zagaiła Barbara, kiedy ruszyliśmy w drogę i spojrzała na mnie z podejrzanym błyskiem w oku. Najwidoczniej gruba warstwa szminki i kredki zdążyła już rozpuścić się i rozmazać w czasie walki z rozszalałym tłumem, opuszczającym prom. demaskując siniaki na mojej twarzy. Musiałam jakoś wyjaśnić szwagierce, że na co dzień wyglądam zupełnie inaczej.

— Miałam wypadek w czasie podróży — powiedziałam, nie patrząc jej w oczy — spadłam w nocy ze schodów. Morze było bardzo niespokojne, a ja nic przytrzymałam się poręczy. Brzmiało to dość przekonująco. Barbara nie poruszyła więcej tego tematu, a Olafa moje siniaki obchodziły tyle co zeszłoroczny śnieg.

Jadąc autem do Sztokholmu, przez całą drogę gratulowałam sobie w duchu, że pozbyłam się nerek, choć mogło to obywać się w nieco mniej gwałtowny sposób, gdyż w połączeniu z moją poszkodowaną twarzą strój ten mógł wyrzucić na Barbarze (preferującej zdaje się sportowy styl ubierania się) szokujące wrażenie.

Gerdmanowie mieszkali przy Kungsgatan, w samym centrum

Sztokholmu w dostojnym domu, pamiętającym być może czasy Gustawa I Wazy, wyposażonym, mimo to, w luksusową windę pełną złotych ozdób, luster, żwawo przemykającą między piętrami. Zajmowali sami, po wyprowadzeniu się trojga dorosłych dzieci, pięć pokoi o powierzchni hal dworcowych, w których mieściła się nieprawdopodobna ilość mebli zgromadzonych z pokolenia na pokolenie. W każdym, oprócz jadalni, na pierwszym planie znajdowała się ogromna kanapa i przepastne fotele, a poza tym mnóstwo sekretarzyków, komódek, kredensików z platerami, srebrami i innymi rekwizytami przeszłości.

Olaf był ogromnie przywiązany do tych pamiątek rodowych i odnosił się do nich z wielkim pietyzmem, gdyż chyba stały tu od wieków. Oprócz zamięlowania do staroci gustował także w supernowoczesnym sprzęcie elektronicznym, który zajmował prawie cały jego gabinet. Przesiadywał tam godzinami, pochłonięty jego wypróbowywaniem, przesłuchiwaniami taśm, odtwarzaniem kaset video. W sumie widywałam go bardzo mało i całe szczęście, gdyż twarz moja, wbrew optymistycznym przewidywaniom Zdzisława, przybierała coraz to inny kolor, od czerwieni, poprzez fiolet, zieleń, do żółci. W tej sytuacji przez pierwszy tydzień mojego pobytu tkwiłam unieruchomiona w domu i tęsknie spoglądałam z okna mojego pokoju na rojną ulicę z charakterystycznymi sylwetkami dwóch wież królewskich na horyzoncie.

Barbara, uosabiająca maksimum dystynkcji, opanowania i dobrego tonu, nie wspominała o mojej przygodzie na promie i nie zadawała żadnych pytań. Prześlizgiwała się bezszelestnie po swoich muzealnych pokojach, niezmiennie grzeczna, uprzejma, gościnna, częstująca mnie coraz to inną gotową zupką, wydobywaną z krzykliwych, fantazyjnych opakowań, szynką z puszki, smacznymi deserami z kremem oraz masą południowych owoców. Jak zauważyłam, przyrządzanie mięs i warzyw nie było jej mocną stroną. Czasem tylko łąpałam jej przenikliwe spojrzenie taksujące ubarwienie mojej skóry, jak gdyby oceniając czy nadaję się już do pokazania ludziom, czy jeszcze nie dojrzałam do publicznej demonstracji.

Przez pierwsze siedem dni wyprowadzała mnie z domu tylko wieczorem jak pieska i przeważnie autem. Zwiedzałyśmy Sztokholm *by night*: nowoczesną Sergelgatan z Konserthuset w głębi. Klarabergsgatan z kompleksem wieżowców, stare miasto, kolorową panoramę dzielnicy Klara, połyskującą w wodzie wszystkimi kolorami tęczy.

Na drugi tydzień, kiedy upodobiłam się już do normalnego człowieka, rozpoczęłam szaleńczy bieg po wszystkich domach towarowych i większych magazynach z Ahien's'em na czele, porównywaniem cen szwedzkich z polskimi po przeliczeniu ich z koron na dolary, a potem na złotówki, w wyniku czego nie dokonałam żadnego zakupu poza pastą do zębów z fluorem, którą niesłychanie przepłaciłam i uniwersalnymi zmywakami Svinto do czyszczenia mojego żelazka. Oczywiście bez przerwy jeździłam metrem, zwiedziłam park królewski pod Sztokholmem z chińską restauracją i kawiarnią, brunatne niedźwiedzie w Skansenie, kilku muzeów, miejską bibliotekę ze słynnymi posągami Sióstr.

Najbardziej ze wszystkiego oczarowały mnie windy — przepastne, głębokie, po prostu fruujące salony, jak również zsypy bez insektów i pojemniki na surowce wtórne, do których oszczędni Szwedzi posłusznie wrzucają butelki po sokach, puszki po konserwach i wszystko co nadaje się do dalszego wykorzystania.

Wreszcie Barbara zdecydowała się pokazać mnie gronu swoich znajomych i przyjaciół. Wieczór zapowiadał się uroczyście. Ogromny inkrustowany stół w jadalni pokrył wiśniowy obrus jednorazowego użytku, wyglądający bardzo atrakcyjnie. Zapłonęły świece w lichtarzach, pojawiły się ozdobne maleńkie kwiatki w plastikowych doniczkach, a na stole masa przysmaków: wędliny, serki, łosoś, sałaty, szyjki rakowe, kremy z czekoladą, wielosmakowe lody i pieniające się niskoprocentowe wino.

Goście zjawiali się jedni po drugich z wzorową punktualnością, przeważnie pary po sześćdziesiątce o nobliwym wyglądzie. Kobiety ubrane na biało lub czarno, w spodniach, mężczyźni w

szarych garniturach. Najpóźniej zawitała wysoka, dorodna szatynka około czterdziestki w zielonej, strojnej bluzce i czarnej spódnicy.

— Inga Lunston — przedstawiła mi się, błyskając ładnymi zębami i wyciągnęła silną dużą rękę. Nazwisko to dotarło do mojego mózgu z jakimś dziwnie ostrzegawczym błyskiem, ale na razie nie wywołało żadnych skojarzeń ani wspomnień.

Ponieważ język szwedzki brzmiał w moich uszach jak kakafonia niezrozumiałych, ostrych dźwięków, taktowna Barbara posadziła mnie koło siebie, choć ze względu na funkcję gospodyni domu, nie mogła mi poświęcić wicie czasu. Z drugiej mojej strony niespostrzeżenie usiadła owa Inga, jak się okazało dość biegle władająca francuskim. Ze wszystkich przybyłych kobiet była najmłodsza i najpiękniejsza, umiała się też wdzięcznie poruszać i przyjemnie się uśmiechać. W pewnym momencie, przy pracowitym i skomplikowanym wyluskiwaniu z pancerzy szyjek rakowych, odezwała się niespodziewanie.

— Pani podobno przywiozła z Polski norki do sprzedania? Czy mogę je zobaczyć? Bardzo chętnie je kupię.

Przysmak o mało co nie ugrzązł mi w gardle. A więc ta nieszczęsna sprawa dalej wlecze się za mną. I nagle przyszło olśnienie. To o tej Szwedce mówiła mi nieboszczka Maja, wymieniła imię i nazwisko — Inga Lunston. Jakoby miała z nią jakieś rozliczenia, prosiła, żebym jej norki oddała, jeżeli się zgłosi. Znów to diabelskie futro! Każdy wyciąga po nie łapy. Jakaś szatańska tajemnica jest z nim związana! O mało co nie wyzionęłam przez nie ducha w tej dusznej komórce. Czyżby wypchane było brylantami, a może mikrofilmami z materiałem szpiegowskim? Nic takiego nie odczułam, kiedy je nosiłam, choć było mi w nim trochę za ciężko i za gorąco.

W każdym razie Gerdmanowie przyjmują w swoim domu podejrzane osoby. Muszę zbadać kim dla nich jest Inga. Wiedziała o moim przyjeździe, dlatego, na pewno, tu przyszła. Zaświtała mi też straszna myśl, że może subtelna i arcykulturalna Barbara jest członkiem tej samej szajki, która ukatrupiła Maję. Kto wie, czy nie zaprosiła mnie do siebie w

jakimś niecnym, zakamuflowanym, a zbrodniczym celu. Zaraz jednak odrzuciłam to ohydne przypuszczenie jako całkowicie niedorzeczne. Prawdopodobnie to Maja wtajemniczona w moje prywatne sprawy, a więc i w projekt wyjazdu do Szwecji, namotała ten kontakt z nadobną Ingą. Ciekawe czy ta Lunston wie o jej śmierci. Wygląda na to, iż działa na własną rękę, bez porozumienia z Radziwem Khanem i Inez Diaz. W każdym razie muszę z nią natychmiast porozmawiać i ewentualnie pozbawić złudzeń.

— Niestety, to futro znajduje się obecnie w rękach polskiej Milicji Obywatelskiej — wypaliłam obcesowo obserwując grę jej twarzy. Musiała być dobrze wyćwiczoną agentką, nie pozbawioną wybitnych aktorskich zdolności, gdyż nie objawiła najmniejszego zdziwienia, a odwrotnie udało, że ta wiadomość szczerze ją rozbawiła.

— Coś takiego! — roześmiała się perliście. — A to trafiłam jak kulą w płot! Myślałam, że zdarza się okazja taniego zakupu. Postanowiłam pognębić ją ostatecznie i powiedziałam cedząc słowo po słowie.

— A co gorsza — Maja Bożyniecka nie żyje.

Te słowa jednak na nią podziały, nie mogła ukryć lekkiego drżenia warg, zmarszczyła czoło, ale natychmiast wróciła do dawnego, swobodnego tonu.

— Nic mi nie mówi to nazwisko, ale jeśli to pani przyjaciółka, szczerze współczuję.

— Dziwne, bo on znała panią doskonale. I jeszcze mam interesującą informację: Bożyniecka została zamordowana.

Po zakomunikowaniu tej wieści zerwałam się od stołu, aby pomóc Barbarze przy podawaniu kolejnych potraw. Kiedy wróciłam, miejsce przy mnie świeciło pustką.

— Jak dawno znasz Ingę Lunston? — zapytałam nazajutrz Barbarę przy śniadaniu.

— Ingę Lunston? W ogóle jej nie znam. A kto to jest?

— Wysoka przystojna szatynka, która siedziała wczoraj obok mnie przy stole.

— Nie mam pojęcia. Olaf, może ty wiesz?

Gerdman zagłębiając się po uszy w „Dagens Nyheter” wysz-

czerzył tylko w odpowiedzi zęby i rozpoczął czytanie sto siedemnastej strony gazety.

— Ach, już wiem. To kuzynka Britt Assarsson, albo jej męża Gunwalda. Podobno przyjechała do nich na weekend w odwiedziny z Göteborga, nie mieli co z nią zrobić, więc wzięli ją do nas ze sobą. Nigdy jej przedtem nie widziałam i nie znałam jej nazwiska.

Powrotna podróż upłynęła bez przygód. Prom poruszał się po łagodnej powierzchni prawie bezszmerowo. Nikt nie okazywał najmniejszego zainteresowania moją osobą, nie wszczynał ze mną rozmowy poza najbliższymi sąsiadami na pokładzie i w restauracji. Tylko wysiadanie z promu należało do przeżyć z pogranicza horroru. W niesamowitym ścisku spowodowanym mnóstwem bagaży wiezionych przez powracających z podróży, można było z łatwością wyzionąć ducha. Najgroźniejsi okazali się „plecakowicze” dźwigający na swoich barkach monstrualne wory, zdolne swoim ciężarem rozgnieść węższe osoby na miazgę. Wycelowane we współtowarzyszy podróży, zamieniały się dosłownie w broń śmiertcionośną. Ludzie targali wszystko: stare lodówki, pralki, telewizory, video. Niektórzy ładowali je do samochodów, inni wieźli je na wózkach. Jedna osoba potrafiła udźwignąć sama sześć ogromnych pakunków, co w zasadzie zdawałoby się niepodobieństwem.

Kiedy zakomunikowałam celnikowi, że wiozę ze Szwecji pastę do zębów i zmywaki Svinte, a potem wydostałam się na zewnątrz budynku, pot ciurkiem spływał mi po plecach.

Spodziewałam się, że wśród oczekujących ujrzę Wiesia Owińskiego w swoim samochodzie, a tymczasem koło mnie przystanął nowy Polonez i wyskoczył z niego szczupły mężczyzna w skórzanej kurtce o lekko siwiejącej, bujnej czuprynie.

— Dzień dobry pani — powiedział. — Niestety Wiesław nie mógł przyjechać i ja go zastępuję. Miło mi panią powitać na polskiej ziemi. Właściwie tylko po spojrzeniu i miłym brzmieniu głosu poznałam w tym szczupłym, eleganckim panu — Witolda Owińskiego.

— Danka ma niesamowite pomysły — uśmiechnęłam się podając mu rękę — już zdążyła wynaleźć panu zajęcie.

Przecież dałabym sobie sama radę, niepotrzebnie pana fatygowała.

— Cała przyjemność po mojej stronie — zapewnił kurtuazyjnie, ładując moją torbę do samochodu. — Cieszę się, że panią widzę.

— Jedziemy do Orłowa — oświadczył, kiedy siedzieliśmy już w wozie — ja również zostałem zaproszony na uroczysty obiad. Nawet nie pytam, czy dobrze spędziła pani czas w Szwecji, bo świetnie pani wygląda, a to mówi samo za siebie.

Nie wiem, czy istotnie prezentowałam się dobrze w mojej wymiętoszonej kurtce i czy w ogóle mógł pamiętać jak kiedyś wyglądałam, gdyż widzieliśmy się tylko dwa razy w życiu, ale w naturze tego człowieka widać leżało sprawianie bliźnim przyjemności i świadczenie różnych grzeczności.

— Dziękuję za miłe słowa — odparłam, ale czuję się jak przepuszczona przez maszynkę do mięsa. W takim tłoku można z łatwością postradać życie. W każdym razie na pewno nadłamałam jeden obcas.

— Słyszałam, że ma pani ostatnio jakieś kłopoty i przeżywa coś w rodzaju kryzysu psychicznego, a przynajmniej zniechęcenia do pracy — powiedział niespodziewanie, kiedy wyjechaliśmy z miasta. — Przepraszam za moje wścibstwo, ale chętnie mogę służyć radą i pomocą.

O Boże ta Danka — pomyślałam. Rozpoczęła akcję na całego, wtajemniczyła go w moje rozterki zupełnie o to nie proszona, nawet ślina nie może się jej utrzymać na języku. Koniecznie chciałaby rzucać mnie w ramiona swojego szwagra. On myśli, że potrzebuję opieki.

— Nie jest tak źle — mruknęłam — po prostu ogarnęło mnie lenistwo, a to się nieraz zdarza.

— A może należałoby zmienić klimat, otoczenie — ciągnął jak zawodowy pocieszyciel i uzdrowiacz chorych dusz. — Wie pani, mam świetny pomysł. Niech się pani przenieś na Wybrzeże. Utrzymuję stałe kontakty z wieloma nowo powstałymi firmami produkującymi nowoczesny sprzęt elektroniczny. Dla nich zdolny grafik projektujący wzory

opakowań do gier komputerowych i płyt kompaktowych, oraz wzory reklamowe były wprost nieoceniony. Z łatwością mógłbym panią wprowadzić w to środowisko.

— Dziękuję za dobre chęci, ale nie tak łatwo wszystko rzucić, w co się wrosło i z czym się zżyło od dzieciństwa. Danka musiała naopowiadać strasznych głupstw. Nigdy nie miałam zamiaru wyprowadzać się z Warszawy.

— Proszę jednak pamiętać o mojej propozycji — przeciął krótko i przeszedł z wrodzoną łatwością i wdziękiem na inne tematy. Danka, pies, dzieci, wszyscy rzucili się na mnie, wydając dzikie wrzaski manifestujące radość. Nie mogłam się na nią gniewać za jej gadulstwo, w końcu kierowała się jak najlepszymi intencjami. Okazało się, że Wiesław był w domu, tyle tylko, że całkowicie pochłonięty przygotowaniem jadła dla ośmiu osób. Wyskoczył na chwilę z kuchni i pomachał mi z daleka ręką usmarowaną ciastem.

Obiad upłynął w serdecznej, gościnnej atmosferze panującej zawsze w domu Owińskich. Dzieciaki wraz z psem siedziały przy stole albo pod stołem, piszcząc, kotłując się i rozpychając jak stado rozbrykanych źrebaków. Czułam się tak swobodnie, że zsunęłam z obolałych nóg pantofle. Nagle podskoczyłam w górę, wydając z siebie dziki ryk, gdyż przeraźliwy ból przeszył mój duży palec u lewej nogi. Schyliłam się pod stół, aby zobaczyć co się dzieje, jednocześnie z Witoldem, który siedział obok mnie. Zupełnie niespodziewanie i przypadkowo zetknęły się nasze ręce i na chwilę zatrzymały w uścisku. Dłoń jego była ciepła i sucha, przyjemna w dotyku, promieniująca ciepłem i siłą. Trwało to bardzo krótko, ale sprawiło mi przyjemność jak podlotkowi na pierwszej randce.

— Przepraszam cię, to tylko Wisior! — zawołała Danka.

— Ostatnio nabrał zwyczaju polowania na kobiece nogi pod stołem, ale wybiera tylko te, które mu się podobają. Inaczej na pewno by cię nie ugryzł.

Niepomna na ten szczególny dowód psiego wyróżnienia, szybko nałożyłam pantofle, aby nie dać Wisiorowi okazji do powtórnego wyrażenia swoich uczuć.

Rozdział IX

Kilka pierwszych dni po przyjeździe do Warszawy spędziłam na gorączkowym oczekiwaniu wiadomości od Zdzisława. Nie mogłam uporządkować się wewnętrznie, gnębił mnie niedosyt informacji o sprawie, którą omal nie przeplącałam życiem. Zgodnie z zapowiedzią Zdzisława miałam otrzymać wyczerpujące wyjaśnienia po zakończeniu śledztwa. Wydawało mi się, że przeciąga się ono zbyt długo i o mnie zupełnie zapomniano. W takim stanie ducha siedziałam zamknięta w domu, stroniąc od ludzi, przeżywając różne stesy i nastroje, od bezsilnej złości do całkowitego odprężenia, że wszystko się skończyło i morderca odpowie za swoją zbrodnię. Praca jednak nadal mi się nie kleiła, wszystko co zrobiłam, nie uzyskiwało aprobaty w moich własnych oczach. Nie chciałam nikogo widzieć, nawet kilka telefonów od Renaty, wypytującej mnie o wrażenia ze Szwecji, zbyłam ogólnikami i nie umówiłam się z nią na spotkanie.

Wreszcie zadzwonił Zdzisław. — Mówi kuśnierz — zażartował. — Futro szanownej pani niedługo będzie do odebrania. Wyobrażam sobie jak bardzo się niecierpliwiłaś. Przepraszam cię za zwłokę, ale nie wynikała z naszej winy. Oczekujemy cię jutro o dziesiątej.

W gabinecie Serwicza panował niemal uroczysty nastrój, przynajmniej tak mi się wydawało, szczególnie wtedy, kiedy sierżant Wisia — zgrabne dziewczę o zielonych oczach, postawiła przed każdym z nas filiżankę aromatycznej kawy.

— No, nareszcie pani Sławo, możemy panią wtajemniczyć w arkana tej afery — powiedział pułkownik. — Strasznie się pani gorączkowała w czasie śledztwa, zarzucała nam opieszałość i brak inicjatywy. Myślę, że kapitan Jaremiak najlepiej zrelacjonuje przebieg wszystkich wydarzeń.

Obejrzałam się za siebie szukając kapitana Jaremiaka, gdyż w pokoju oprócz mnie znajdował się tylko pułkownik i Zdzisław.

— No, Zdzisław, zaczynaj — zachęcił Serwicz i rozsiadł się

wygodnie w fotelu.

Na mojej twarzy widocznie odmalowało się takie zaskoczenie, że zwróciło uwagę obydwu oficerów, a Zdzisław uznał za stosowne w kilku słowach się usprawiedliwić.

— Jesteś na pewno zdziwiona, iż występowałem w cywilu pod innym nazwiskiem i przedstawiłem się tobie jako Kamiński, ale wymagały tego okoliczności sprawy. Okazało się niezbędne, abym zachował ściśle incognito i nie ujawnił wykonywanego przez siebie zawodu. Ułatwiło mi to przybranie innego nazwiska.

Zrobiło mi się nagle ciężko na duszy i cały świat dziwnie poszarzał. A więc wszystko zostało ukartowane i z góry wyreżyserowane: zawarcie znajomości ze mną, flirt, odgrywanie roli wielbiciela w innym wcieleniu, po to tylko, aby rozwiązać jedną z zagadek kryminalnych. Ja się po prostu nie liczyłam, moje uczucia nie wchodziły w grę. Dla kapitana Jaremiaka najważniejsze jest dobro śledztwa, a nie inne istoty ludzkie. Czułam, jak bardzo staję się niesprawiedliwa w osądzie Zdzisława, ale w tej chwili rozgoryczenie moje nie miało granic.

— Dobrze, że chociaż imię nie zostało wymyślone — powiedziałam złośliwie.

— Przepraszam cię jeszcze raz, Sławo, a teraz *ad rem*. Na pewno domyślasz się, że twoja przyjaciółka Maja należała do międzynarodowego gangu handlarzy narkotyków.

— O narkotykach nic nie wiedziałam, przypuszczałam tylko, że musiała być członkiem zorganizowanej szajki przestępczej.

— No, właśnie. Przedmiotem jej działalności były narkotyki. Bożyniecka w czasie pobytu w Singapurze nawiązała za pośrednictwem znanego ci sprytnego agenta Radžiwa Khana, Hindusa, kontakt z handlarzami narkotyków.

— Nie rozumiem po dziś dzień, jak mogła się zgodzić na udział w takich machinacjach. Ostatecznie znałam ją od szczenięcych lat i nic nie zapowiadało, że zostanie międzynarodowym gangsterem.

— Cóż, zwiodła ją perspektywa wielkich zarobków przekraczających normalne ludzkie możliwości. Pani Maja

uwielbiała stroje, łatwe i luksusowe życie. Znalazła się w sidłach tego procederu kiedy rozpadł się jej związek z dobrze prosperującym finansowo mężem.

— Jesteście panowie doskonale zorientowani w jej sprawach osobistych. Chciałabym jednak wiedzieć, jaką rolę odgrywała w tym nieszczęsnym gangu.

— Bardzo dużą i nie tylko na terenie Polski. Podstawową funkcją w przemyśle heroiny z Singapuru, Hongkongu i innych krajów Dalekiego Wschodu spełniały futra z nerek, w dalszym ciągu bezkonkurencyjnie tanie w Polsce, licząc po czarnorynkowych cenach dolara. Bożyniecka zamawiała kilka futer u kuśnierzy w większych miastach Polski, po czym wyjeżdżała do Singapuru i innych centrów handlu narkotykami, gdzie faszerowano je heroiną, następnie wracała do Polski, skąd sama lub za pośrednictwem innych agentek przemyślała ukrytą w futrach heroinę do odbiorców na zachodzie Europy. Proceder ten kwitł od dłuższego czasu, przynosząc krociowe zyski.

— Psy śledcze nie wpadły na jej trop?

— Nie, nigdy jej się to nie przytrafiło. Trzeba przyznać, że była reprezentacyjną kobietą. Na jej pięknych ramionach norki wyglądały wspaniale. Jeździła po świecie, drogą powietrzną, morską i lądową. Igrała z niebezpieczeństwem, ryzykowała wszystkim co posiadała, wolnością, może życiem, ale widocznie jej to odpowiadało. Jedna wpadka przekreślała wszystkie jej dotychczasowe profity. Domyślasz się Sławo, że norki, które ci ofiarowała, również nadziane zostały heroiną, a ty nieświadomie przemyślaś kilogram tego narkotyku, jadąc w nim do Szwecji.

— To dlatego zawsze wydawało mi się jakieś ciężkie i robiło mi się gorąco, kiedy je zakładałam. Powinam była zwrócić je Jerzemu, przynajmniej uniknęłabym tej strasznej przygody na promie. Oto do czego prowadzi idiotyczna próżność. Ale co porabiał w Polsce Radziw Khan i Inez Diaz?

— Khan oficjalnie występuje jako przedstawiciel handlowy jednej z firm elektronicznych w Singapurze.

Dokonywał w naszym kraju rozliczeń finansowych z Bożyniecką, przekazywał jej instrukcje, wydawał polecenia, zawiadywał siatką zorganizowaną w Polsce. W jego imieniu działała również Inez Diaz, pseudostudentka Uniwersytetu Warszawskiego, a w rzeczywistości wyspecjalizowana agentka gangu. W mieszkaniu na Chylińskiej mieściła się warszawska centrala. Brazylijka zajmowała się werbunkiem agentów, utrzymywała rozległe kontakty z zagranicznymi odbiorcami narkotyków, sama też kilkakrotnie uczestniczyła w przetruciu. Jednym słowem grała niepoślednią rolę we wszystkich operacjach.

— Jednak Maja musiała podpaść polskim organom ścigania, skoro zmieniłeś tożsamość i usiłowałeś nawiązać z nią znajomość nawet za moim skromnym pośrednictwem. Czy nie mam racji?

Pułkownik pogrążony za swoim biurkiem w wertowaniu pękatej teczki z dokumentami, od czasu do czasu rzucał na nas badawcze spojrzenia, szczególnie wtedy, gdy tocząca się między nami rozmowa przybierała bardziej osobisty charakter.

— Trochę ironizujesz, Sławo, ale cię rozumiem. Postaram ci się odpowiedzieć na to pytanie. — Tak, atrakcyjna, szastająca bez opamiętania pieniędzmi Maria Bożyniecka, zwróciła naszą uwagę. Podejrzewaliśmy ją o udział w jakichś ciemnych machinacjach, łącznie z przemytem heroiny, zważywszy na środowisko, w którym się obracała. Brakowało nam jednak konkretnych dowodów. Jej znajomi Khan i Diaz znajdowali się również pod obserwacją milicji, nie mogliśmy zastosować wobec nich aresztu bez niezbitego stwierdzenia przestępstwa. Jako obywatele obcych państw pozostawali pod specjalną ochroną prawną.

— I o to właśnie pani Sława miała do nas ogromną pretensję — wtrącił z uśmiechem pułkownik, który dotąd nie odezwał się ani słowem, przekazawszy Zdzisławowi wprowadzenie mnie w meritum sprawy.

— W jakim celu ci bandyci wdarli się do mieszkania Renaty, pobili ją i usiłowali dobrać się do mojego mieszkania. Czy podejrzewali nas o przechowywanie

narkotyków?

— I tu dochodzimy do sedna sprawy. W zasadzie niewiele się mylisz. Powodem tych wszystkich agresywnych poczynań stało się futro z nerek wraz z zawartością, które Bożyniecka ci ofiarowała lub dała na przechowanie. Należy przypuszczać, że miała zamiar działać na własną rękę, przesłać je za twoim pośrednictwem do Szwecji i sama zainkasować należność za heroinę. Po jej śmierci zabrakło tego futra w rozrachunkach gangu, rozpoczęli poszukiwania u osób najbliższych Bożynieckiej, a więc u ciebie i u Renaty Kowalskiej.

— I dlatego pojechali za mną do Szwecji?

— Tak. Chcieli odebrać futro za wszelką cenę, jeżeli nie na promie, to w Sztokholmie. Poza ogromną wartością, stwarzało w razie przypadkowej wpadki niebezpieczeństwo naprowadzenia policji na ślad gangu.

— Więc ja posłużyłam za przynętę. Chodziło wam przecież o to, żeby ich złapać na gorącym uczynku. Bardzo łatwo mogłam przepłacić taką grę życiem.

— Proszę tak nie myśleć, pani Sławo — zabrał głos pułkownik. — Wiedzieliśmy przecież gdzie te narkotyki są ukryte i że je pani dźwiga na własnych ramionach. Dzięki pani przykrej przygodzie, został rozszyfrowany sposób, w jaki szajka dokonywała przemytu. Nie znaczy to jednak, że zamierzaliśmy złożyć panią w ofierze. Cały czas śledziliśmy Khana i Diaz oraz inne podejrzane osoby. Obydwie panie pozostawałyście pod ochroną milicji od chwili włamań do waszych mieszkań. Kiedy para przestępców udała się w ślad za panią do Szwecji, stało się jasne, że posiada pani przy sobie jakąś rzecz, czy inne walory, które za wszelką cenę, będą się starali pani odebrać. Od początku byliśmy pewni, że są to narkotyki.

— Poza tym nie mogliśmy przewidzieć, że przyjdzie tobie do głowy nocny spacer po promie przy księżycu i dlatego nie wysłaliśmy za tobą anioła stróża.

— A gdybym zostawiła futro w domu?

— Wówczas dojechałaby pani bez żadnych przygód do

Szwecji, my zaś w dalszym ciągu obserwowalibyśmy wszystkie kroki Singapurczyka i Brazylijki. Bez wątpienia ponowiliby napad na pani mieszkanie.

— Widocznie Maja bała się swoich wspólników, przecież mówiła o śmierci. Dlatego wielkodusznie ofiarowała mi futro w spadku.

— Otrzymasz je po rozprawie sądowej, stanowi twoją własność. Na razie musi służyć jako dowód w toku procesu.

— Wcale mi na nim nie zależy, niech je zabierze sobie Jerzy Bożyniecki. Nie rozumiem tylko, jak Maja dla głupich pieniędzy mogła ryzykować życie. W końcu miała kupę biżuterii i masę forsy, w złotówkach i dolarach. Niczego jej nie brakowało do szczęścia, oprócz oczywiście spokojnego sumienia. Khan zamordował ją tylko z tego powodu — to nie ulega wątpliwości.

Nagle zapadła cisza. Serwicz i Jaremiak spojrzeli na siebie porozumiewawczo, wreszcie odezwał się pułkownik.

— Sęk w tym, pani Sławo, że Radziw Khan nie zabił Mai Bożynieckiej.

Poczułam taki zawrót głowy, jakbym znów znajdowała się na wzburzonym morzu.

— Jak to? — wybąkałam. — Więc to nie on? Naprawdę, nie on? Już niczego nie rozumiem... Któż ją w takim razie zamordował i w jakim celu? Czy inny członek tego gangu? A może jednak się mylicie...

— Alibi Radziwa Khana zostało sprawdzone. Tej nocy, kiedy zginęła Bożyniecka, śledził go nasz funkcjonariusz. Khan po wyjściu z innymi gośćmi od denatki wrócił do hotelu i spędził w nim całą noc — rzekł pułkownik Serwicz. — W tym kontekście zabójstwo Bożynieckiej może nie mieć nic wspólnego z jej działalnością w ramach grupy przemytniczej. Wygląda raczej na porachunki czysto osobiste. W tej sprawie nadal trwa śledztwo.

Rozdział X

Święta Bożego Narodzenia nie zawsze stanowią zapowiedź przyjemnych, radosnych chwil, spędzonych w gronie rodzinnym, wokół rozjarzonej choinki. Dla ludzi samotnych mają raczej smętny, nostalgiczny charakter. W tym roku należałam właśnie do kategorii osób, które nie bardzo wiedzą, co z sobą zrobić w okresie kiedy rodziny zamykają się w swoich hermetycznych pudełkach — mieszkaniach, aby objadać się bez umiaru i opamiętania zdobytymi z narażeniem życia wiktuałami.

Po śmierci Edwarda najczęściej spędzałam wigilię w towarzystwie Renaty, a dni świąteczne u Bożynieckich i u coraz bardziej wykruszających się członków mojej rodziny. W tym roku Renata wybierała się w odwiedziny do swoich kuzynów w Bielsku-Białej, Maja spoczywała w grobie, a moi krewni również opuścili ten padół, z wyjątkiem osiemdziesięcioletniej ciotki, u której ongiś poznałam mojego męża.

Deszcz padał gęsto i często, czasem prószył śnieg, ale natychmiast zamieniał się w kałużę błota. Warszawa gwałtownie szykowała się do świąt. Ulice zapłonęły blaskiem żarówek, Nowy Świat wyglądał jak mały Paryż, witryny sklepów wabiły oko w miarę efektownym wystrojem, a mój humor stawał się podlejszy z godziny na godzinę. Nawet odkryłam w sobie cechy charakteru czarownika Gargamela, wroga Smurfów, gdyż obrzydliwa, deszczowa pogoda odpowiadała mojemu aktualnemu stanowi ducha.

Otrzymałam co prawda szalenie miły list od Danki Owińskiej z zaproszeniem na całe święta, łącznie z Sylwestrem do Orłowa, ale nie mogłam zważyć się im na głowę, tym bardziej, iż wyczułam w tym podstępne knowania Danki, mające na celu połączenie mnie nierozzerwalnym węzłem z Witoldem w świątecznej atmosferze. Zmusiła nawet szwagra, żeby dopisał swoim energicznym, zamaszystym pismem *post scriptum* na jej liście, brzmiące: „Ja również dołączam gorącą prośbę, aby

Pani spędziła razem z nami święta Bożego Narodzenia. Oddany Witold”.

Ładnie by to wyglądało, gdybym w odpowiedzi na to wezwanie zjechała teraz do Owińskich. Nic tylko od razu paść w ramiona Witolda, który i tak na pewno atakowany jest bez przerwy przez legiony bab. Tego na pewno nie zrobię!

Pogodzona z losem, kupiłam jednego karpia, sporego kurczaka, główkę sałaty, butelkę wina bułgarskiego i kilogram keksu. Nawet przytargałam małą choinkę i ustroiłam ją kilkoma bombkami. W ostatniej chwili zadzwonili znajomi, którym brakowało czwartego do brydza i zaprosili mnie na pierwszy dzień świąt. Drugi dzień postanowiłam w ramach akcji charytatywno-społecznej spędzić u owej sędziwej ciotki, aby uprzyjemnić jej starczą samotność. W ten sposób święta miałam jako tako zagospodarowane. O dziwo, Zdzisław uznał za stosowne oznajmić mi, że wyjeżdża do rodziców w kieleckie, tak jakby mimo wszystko łączyły nas jakieś więzy i nasz mały flircik nie stanowił wyłącznie gry służącej do zdemaskowania kryminalnej działalności Mai *and company*. Zastanawiam się czy i ja – jej bliska koleżanka, nie znajdowałam się przez pewien czas na liście podejrzanych. Jednak to miło z jego strony, że o mnie pamiętał również jako kapitan Zdzisław Jaremiak. Powiadomił mnie nawet kiedy wraca do Warszawy, chyba już całkiem zbytecznie. Prosił, żebym zawsze zwracała się do niego w każdej potrzebie, nie zapominała, iż żywi do mnie wiele przyjaznych uczuć, i że nie wszystko między nami zostało do końca dopowiedziane. Takie niewiążące, mile słowa z okazji zbliżających się świąt zamiast pocztówki z życzeniami.

W Wigilię obudziłam się w wybitnie psim humorze. Gdybym pokusiła się o podsumowanie wszystkiego, co się w ostatnim roku wydarzyło, to niewątpliwie moje osobiste saldo okazałoby się ujemne. Odniosłam porażkę w życiu prywatnym i niczego nie osiągnęłam na polu zawodowym. Straciłam przyjaciółkę, a moja akcja wywiadowcza, mająca na celu wykrycie jej morderców spaliła na panewce. Sama przyjaciółka zresztą,

okazała się zwykłą hochsztaplerką, nie wartą mojego siostrzanego sentymentu. Przez jej podstępne działanie o mało sama nie postradałam życia. Obarczyła mnie futrem z całą świadomością niebezpieczeństwa, które przez to zaczęło mi zagrażać.

Moje uczucia do Mai zawsze były ambiwalentne — lubiłam ją i nie znosiłam jednocześnie. Przyciągała mnie jakimś magnetycznym urokiem swojej osobowości, mimo iż znałam rozliczne przywary jej charakteru i na własnej skórze doświadczyłam większych i mniejszych podłostek z jej strony. Właściwie już przestałam się dziwić, że zagadka jej śmierci pozostawała nadal nie rozwiązana. Kobieta prowadząca tego rodzaju tryb życia, za pan brat ze światem przestępczym, mogła paść z ręki któregokolwiek z członków gangu w wyniku im tylko znanych układów i konfliktów. Oprócz tego jako potencjalni mordercy wchodzili w grę jej liczni partnerzy seksualni, w których ostatnio coraz mniej przebierała. Nie wiadomo, kto pod osłoną nocy złożył jej wizytę zakończoną tak tragicznie. Z wielu względów postanowiłam ostatecznie odciąć się od rozważań i poczynań mających na celu odkrycie jej zabójcy. Z tą decyzją rozpoczęłam dzień wigilijny. Mimo starań o utrzymanie równowagi ducha, koło południa ponownie roztkliwiłam się nad sobą i swoim samotnym wdowim losem, w konsekwencji czego sięgnęłam po butelkę koniaku, ale zdołałam wysączyć z niej zaledwie kilka kropli wzmacniającego płynu. Koniak marki „Ararat” skończył się nieodwołalnie.

Wtedy zabrzmiał dzwonek. Poczciwe Renacisko — pomyślałam. Na pewno zrobiło jej się żal, że zostawia mnie samą na święta i wraca, aby mi dotrzymać towarzystwa.

Ku memu nieopisanemu zdziwieniu na progu stał Jerzy Bożyniecki w białym kożuszku i futrzanej czapie, z ogromnym pękiem ciemnowiśniowych róż w ręku.

— Jak się masz — powitałam go. — Co za niespodzianka! Ty, w takim dniu, u mnie?

— Przyjechałem dwa dni temu do Polski i postanowiłem

cię odwiedzić. Święta spędzę u matki w Skierniewicach.

— Bardzo mi miło, że o mnie pamiętasz. Chodź, proszę, rozgość się.

— Przede wszystkim przyjmij te kwiaty i pozwól, że się rozbiore.

— Jestem wprost oszołomiona. Takie piękne kwiaty... Zaraz widać, że przyjechał gość z Singapuru, gdzie ulice wybrukowane są dolarami, przecież teraz w Polsce róże kosztują majątek.

— Nieważne. Zaciągnąłem u ciebie poważny dług wdzięczności i nie wiem, czy go kiedykolwiek spłacę.

— Nie mów tak uroczyście. Poczęstowałamby cię konakiem, ale niestety się skończył. Wobec tego zaraz podam kawę.

— Tak się składa, że przywiozłem koniak — wyciągnął z przepastnej kieszeni kożucha pękata butelkę z pięcioma gwiazdkami. I jeszcze taką drobnostkę. Mam nadzieję, że ci będzie odpowiadała.

— Przecież to prawdziwe perfumy od Chanela. Słuchaj, czy ty jesteś Świętym Mikołajem roznoszącym podarki grzecznym dzieciom i zgorzkniałym babkom pod czterdziestkę? A może pomyliłeś adres? Tu nie mieszka żadna śliczna dziewczyna, tylko zwykła, stara, Sława Grzybowska.

— Jakaś ty zabawna. Jeśli chcesz mnie poczęstować naprawdę to przynieś coś gorącego do picia. Jadę z dość daleka i trochę zmarzłem.

Pobiegłam do kuchni podniecona i bardzo zdziwiona. Odczułam prawdziwą przyjemność na jego widok, mimo iż od lat żywiłam do niego negatywne uczucie, może dlatego, że przeżywałam wyjątkową chandrę, a on spadł jak z nieba i rozproszył ogarniające mnie zniechęcenie do całego świata. W ogóle przypomniła mi się młodość, inne święta Bożego Narodzenia, które spędzaliśmy razem. Jednak nie mogłam pozbyć się wrażenia, że ta niespodziewana wizyta ma jakiś specjalny cel, i za tą fasadą uprzejmości kryje się prawdziwa, nie znana mi jeszcze przyczyna, dla której

zjawił się dzisiaj u mnie.

Zabrał się zaraz do kawy i pił ją wielkimi łykami. Kiedyś w moim studenckim pokoiku wlewał ją do gardła jak smok i pochłaniał jedzenie potwornym kęsami, aby jak najprędzej zaspokoić głód. A potem brał mnie w objęcia i całował... Ale dość tych sentymentów. Przede mną siedzi łysiejący jegomość w średnim wieku, wielki biznesmen z Singapuru, w dodatku wdowiec po mojej przyjaciółce, nie mający nic wspólnego z tamtym uroczym chłopcem z dawnych lat.

Nalałam szlachetnego płynu do kieliszków i sięgnęłam nerwowo po swój.

— Przede wszystkim chciałem ci podziękować, Sławo, za trud przy porządkowaniu rzeczy Mai. To było niełatwe zadanie — rozpoczął.

— Podziękuj również Renacie. Napracowała się nie mniej ode mnie. Klucz od twojego mieszkania znajduje się w Komendzie Głównej, u kapitana Jaremiaka.

— W dalszym ciągu nie uważam tego lokalu za moje mieszkanie. Zatrzymałem się w „Forum”. Rozmawiałem już z pułkownikiem Serwiczem.

— A więc wiesz, że twoja żona została zamordowana.

— Tak, to wstrząsająca wiadomość, ale wydaje się, choć może nie powinienem tego mówić, że poniosła zasłużoną karę za swoje postęпки. Kiedy oznajmiono mi czym się trudniła, doznałem niemałego szoku, mimo iż niejednokrotnie obserwowałem u tej kobiety odchylenia od normy, niekonsekwencje w działaniu, nie mówiąc już o całkowitym braku zrównoważenia. Jednak nie przypuszczałem, że stoczy się tak nisko i zostanie kryminalistką, ściganą przez policję całego świata.

— To też swojego rodzaju kariera — zauważyłam, nie bez satysfakcji obserwując oburzenie na jego twarzy. Ten pompatyczny sposób wysławiania się bawił mnie i irytował jednocześnie.

— Żartujesz Sławo. Nawet nie wiesz, jak deprymująco podziałała na mnie ta sprawa. Wiele myślałem ostatnio o swoim życiu.

— I do jakiego wniosku doszedłeś?

— Że zmarnowałem szansę stworzenia prawdziwej rodziny. Ja nigdy nie kochałem Mai. Nie mówię w przypływie rozczarowania do jej osoby, ale po analizie wszystkich faktów i wydarzeń.

— Czy to wigilia nastroiła cię do rozrachunków z przeszłością?

— Myślę tak całkiem serio, a ty ironizujesz każde moje słowo. Wiem, zachowałem się kiedyś nikczemnie wobec ciebie. Byłaś taka ufna i szcera. Uległem jakiemuś opętaniu, którego nie umiem sobie nawet wytłumaczyć.

— Niepotrzebnie sobie robisz wyrzuty. To stało się tak dawno...

— Dla mnie te wspomnienia są wiecznie żywe. Chciałbym naprawić teraz krzywdę, którą ci wyrządziłem. Słowo, czy zgodziłabyś się rozpocząć ze mną nowe życie? Mówię zupełnie poważnie, po głębokiej rozwadze.

— Człowieku, opamiętaj się. Przyjrzyj mi się uważnie. Nie jestem dziewczyną z tamtych lat, a starą, stetryczalą babą. Ileż pięknych kobiet na świecie czeka na propozycje matrymonialne takich jak ty facetów. Powinieneś wziąć sobie teraz młodą, uroczą żonę, która by umiała ci żywo samym świergotem i urodziła tuzin dzieci.

— Widzę, że nie bierzesz poważnie mojej propozycji. Dalej uważasz mnie za lekkoducha, strasznie mi przykro.

— Oczywiście nie mogę potraktować serio twoich oświadczeń, nie minęło by wiele czasu, a zaczęłbyś się oglądać za kociakami.

— Ja jednak dalej obstaję przy swoim. Proszę cię, żebyś się dobrze zastanowiła. Zanim dasz mi stanowczą odpowiedź.

— *On revient toujours a ses premiers amours* — zauważyłam sentencjonalnie. — A więc naprawdę proponujesz mi małżeństwo?

— To zależy od ciebie, jaką formę chcesz nadać naszemu związkowi. Wiem jedno, że pragnę być z tobą. Jeżeli sobie życzysz, możemy wziąć ślub.

— A więc chodzi ci raczej o mariaż na próbę? Wiesz to

interesujące, chociaż porzekadło mówi, że odgrzewane kotlety nie smakują, ale kto wie, czy nasza miłość nie uległaby nagłemu wskrzeszeniu.

— A więc zgadzasz się. To świetnie.

— Tego nie powiedziałam. Muszę się dobrze namyśleć przed powzięciem decyzji. Spadłeś jak z nieba w dzień wigilijny i chcesz zmienić całe moje życie. Czyżbyś przez te wszystkie lata skrycie się we mnie kochał? Wcale na to nie wyglądało. Słuchaj, a może to ty zamordowałeś Maję, żeby po jej śmierci starać się o moją rękę?

— No wiesz — Jerzy obruszył się na serio. — Jeżeli masz zamiar tak do mnie mówić, to lepiej pójde...

— Nie bądź taki zasadniczy, chłopie. Chodź, wypijemy na zgodę. Spełniliśmy parę toastów przy mojej małej choince. Nagle Jerzy niespokojnie spojrział na zegarek.

Słuchaj, muszę już jechać do Skierniewic. Umówiłem się z matką, przyjadę we wtorek poświęteczny po twoją odpowiedź.

Zaraz po świętach muszę wracać do Singapuru. Przeniosłem się właśnie do nowego apartamentu przy Orchard Road. Jeżeli zechcesz tam ze mną zamieszkać, będę bardzo szczęśliwy, ale jeżeli wolisz zostać w Polsce, postaram się odpowiednio ułożyć swoje interesy. Przy dzisiejszych liberalniejszych przepisach finansowych nie trudno mi przyjdzie zmontować spółkę z udziałem kapitału zagranicznego.

— Jerzy, przyznaj się, przeżyłeś ostatnio zawód miłosny. Rzuciła cię jakaś flama i przyszedłeś szukać ukojenia w moich ramionach.

— Jesteś głupiutka. Nie będę teraz wygłaszał wielkich słów, na to przyjdzie jeszcze czas. Spędź przyjemnie święta. Do zobaczenia.

Wyszedł, a ja zostałam oszołomiona trochę wypitym w nadmiarze koniakiem, a bardziej deklaracją Jerzego. Żeby wrócić do szarej rzeczywistości, wzięłam się za karpia i zagniotłam makaron. Właśnie kiedy ryba zaczęła skwierczeć na patelni, a na niebie rozbłysła pierwsza gwiazdka, zadzwierczał telefon.

— Kłania się Witold Owiński — usłyszałam sympatycznie brzmiący głos — nie pocieszony z powodu pani nieobecności

przy wigilijnym stole. Najlepsze życzenia świąteczne, pani Sławo, spełnienia wszystkich marzeń.

– Dziękuję, wzajemnie. Strasznie miło, że pan zadzwonił.

– Naprawdę szkoda, że pani nie przyjechała. Proponuję wobec tego wspólne spędzenie Sylwestra.

– Niestety, raczej nie będzie to możliwe, ale raz jeszcze dziękuję za pamięć.

– A więc do zobaczenia w nowym roku. Proszę pomyśleć o mnie, kiedy będzie była dwunasta.

Świat nie jest taki zły, pomyślałam, kładąc się po obejrzeniu filmu i programów rozrywkowych w telewizji. Jeszcze przed paroma godzinami uważałam się za najniezwyklejszą osobę pod słońcem, zapomnianą przez Boga i ludzi, a naraz wydałam się sama sobie heroiną jakiegoś średniowiecznego romansu, o której serce znamienici rycerze toczą zacięte pojedynki. Z takim przeświadczeniem zasnęłam snem sprawiedliwego.

Święta minęły szybko i nawet dość przyjemnie. Szła mi karta, a to zawsze poprawia humor, spełniłam dobry uczynek odwiedzając starą ciotkę, uroniłam łzę nad losem rodziny Prado. Cały czas świdrowała mi w głowie uporczywa myśl, że we wtorek Jerzy zjawi się po moją odpowiedź. Właściwie powinnam zdecydowanie odrzucić jego tak bardzo nieoczekiwaną propozycję. Kiedyś przecież zawiódł moje zaufanie, trudno by mi przyszło odbudować wiarę w tego człowieka, nie chciałabym przeżywać nowych rozczarowań, a jednak ... Z godziny na godzinę coraz bardziej kusząca stawała się perspektywa wygodnego, beztroskiego życia u jego boku w słonecznym, dalekim Singapurze.

Rozdział XI

Renata zjawiła się u mnie w drugi dzień świąt wieczorem. Miałam rację, że nie wytrzyma długo u swoich krewnych i zatęskni za naszym tradycyjnym, wspólnym Bożym Narodzeniem, celebrowanym w spokoju i odcięciu od całego świata.

Przybiegła zziajana prosto z pociągu, jak zwykle zakatarzona, z kieszeniami pełnymi chustek, niespokojna, a jednocześnie ciekawa jak sobie dałam radę sama, bez jej towarzystwa. Myślę, iż w gruncie rzeczy lubiła, jak ją objeżdżam i strofuję na każdym kroku i tego jej najbardziej brakowało w ciągu tych kilku dni. Biedna dziewczyna — pomyślałam. Co się z nią stanie, jeśli wyjadę, zupełnie uświrknie w samotności — a głośno powiedziałam:

— Wyobraź sobie, że w wigilię Jerzy złożył mi wizytę. Zwróciła na mnie swoje oczy zmęczonej, cielnej krowy, w których zamigotał blask zainteresowania.

— Tak, czego chciał?

— Nigdy byś się nie domyśliła — oświadczył się o moją rękę. Powiedział, że jego małżeństwo z Mają było jedną, wielką omyłką, gdyż nigdy jej nie kochał. Teraz wiele rozmyślał nad swoim losem i po dokonaniu ogólnego bilansu życiowego, doszedł do wniosku, że wyrządził mi wielką krzywdę, którą powinien naprawić. Jednym słowem zaproponował mi związek, niekoniecznie przypieczętowany ślubem, ale trwały i monogamiczny.

Zapanowało milczenie, Renata widocznie przetrawiała tę zaskakującą nowinę i przez dłuższy czas nie mogła wydobyć z siebie ani słowa.

— A ty co na to? — zapytała wreszcie.

— Nie dałam mu konkretnej odpowiedzi, chociaż prosił o nią usilnie. Chyba przeżył jakiś przełom duchowy, kiedy dowiedział się, że jego żona była kryminalistką. Chce pójść na wszystko, proponuje mi wyjazd do Singapuru lub zamieszkanie w Polsce, gdzie w takim razie założyłby wielką firmę, przynoszącą krociowe zyski. Jednym słowem kroi mi się partia nie do pogardzenia.

— I ty się zgodziłaś?

— Już ci mówiłam, że pozostawiłam sprawę w zawieszaniu. Cały czas myślę o tym. Powinnam odrzucić go ze wzgardą na ustach, jak w ckliwych romansach, ale jestem tylko słabą kobietą i kto wie, czy przepuszczę okazję tak wygodnego urzędnika sobie życia. Poza tym kiedyś

kochałam go jak wariatka, chociaż teraz wydaje mi się, że mam do czynienia z zupełnie innym człowiekiem. Jednak wspomnienia mogą odżyć. Kiedy ze mną rozmawiał, słowa jego brzmiały zupełnie szczerze. Prawie uwierzyłam, że pragnie związać się ze mną.

Spojrzałam na Renatę i zdębiałam. Ocierała ukradkiem łzę, a nie zdarzało się jej to często. Widocznie rozstanie ze mną, jedyną już przyjaciółką, będzie dla niej stanowić jeszcze cięższe przeżycie niż śmierć Mai.

— Nie bez — powiedziałam. — Przecież między nami nic się nie zmieni. Będziemy się nadal stale widywać, Jerzy cię bardzo lubi.

— Więc się już zdecydowałaś — powiedziała tragicznym tonem i nagle zerwała się z miejsca. — Muszę już iść. Padam ze zmęczenia po podróży, jutro bardzo wczesnie wstaję.

— Zostań, pokroiłam właśnie twój ulubiony keks.

Pokręciła przecząco głową. — Nie, nie mam już siły. Przyjdę jutro wieczorem, po siódmej, to porozmawiamy. Na pewno przyjdę, czekaj.

Nie wiedziałam, że ją to tak dotknie — zauważyłam w duchu. Ale nic dziwnego. Strata dwóch przyjaciółek w ciągu jednego roku może zupełnie załamać osobę o tak małej odporności psychicznej. Niech się tak nie zamartwia, kandydatura pana Bożynieckiego, na mego dozgonnego towarzysza nie została jeszcze przyjęta.

Nazajutrz trochę słońca wytoczyło się na ustawicznie szare niebo. Od samego rana ogarnął mnie niepokój. Nie wiedziałam, kiedy Jerzy przyjdzie, zapowiedział tylko wizytę w godzinach rannych. Czułam, że muszę podjąć ważką decyzję mogącą zdecydować o dalszym moim życiu. Bezustannie toczyłam ze sobą walkę wewnętrzną. Z jednej strony nęciły mnie mirażę żywota pozbawionego trosk, z drugiej nurtował żal do Jerzego za te wszystkie minione lata, za zło od niego doznane. Uczucia te dawno wystygłe, przysypane popiołem zapomnienia, nabrały wyrazistości, stały się znów bliskie i bolesne.

Mijały godziny ranne, a Jerzy się nie zjawiał. Chyba znów

wystawił mnie rufą do wiatru — pomyślałam. Zakpił sobie ze mnie, a ja przyjąłam te wszystkie jego zakłamane oświadczenia, o sumieniu dręczonym wyrzutami, o odrodzonej, jak Feniks miłości do mnie, na serio. Lepiej bierz się babo do roboty i przestań się zajmować mrzonkami — zakończyłam dialog z własnym, przygnębionym nową porażką życiową, ja.

Podeszłam do okna, przez które dzisiaj spozierałam raz po raz na prawie wyludnioną o tej porze ulicę, właśnie wtedy, kiedy przed mój dom zajechała błękitna Szarada. Najpierw wysiadł z niej Jerzy z nieodłączną wiązanką kwiatów zawiniętą w celofan, a potem wyskoczyła dziewczyna w czarnych, luźnych jenotach i w wielkim, płaskim kapeluszu z rondem, zakrywającym pół twarzy. Nie mogłam usłyszeć co mówili, ale chyba coś zabawnego, bo dziewczyna śmiała się wdzięcznie odchylając do tyłu głowę. Potem długo potrząsała ręką Bożynieckiego, jakby nie mogła się z nim rozstać, chyba przekonywała go o czymś, wreszcie wsiadła do samochodu, a Jerzy wszedł do bramy. W tej chwili jakby zasłona spadła mi sprzed oczu. Oto wizja mojej przyszłości, gdybym zgodziła się na propozycję Jerzego: nowe niepokoje, udręki zazdrości, niepewność jutra. Ten człowiek zupełnie się nie zmienił, nigdy bym mu nie mogła zaufać jak kiedyś, o niestabilnych, zmiennych uczuciach. Nie warto powielać przeszłości, trzeba z nią raz na zawsze skończyć.

— Witaj Sławo — powiedział Jerzy wchodząc i wręczył mi czerwone egzotyczne kwiaty o powyginanych kielichach.

— Wybacz, że przychodzę dość późno, ale musiałem załatwić kilka pilnych spraw służbowych.

— Czy ta piękna kobieta na dole to twoja sekretarka?

— zapytałam z niewinną miną.

— Ach, nie. To Nelly Jackson, córka jednego z najpoważniejszych akcjonariuszy przedsiębiorstwa, w którym pracuję. Jej matka jest polskiego pochodzenia. Nelly przyjechała teraz do swojej rodziny.

— Uważam, że to dziewczyna wymażona wprost dla ciebie: młoda, bogata, urodziwa. Powinieneś natychmiast zacząć starania o jej rękę. Ręczę, że przy niej zapomnisz o wszystkich dręczących cię problemach.

— Zupełnie cię nie rozumiem, Sławo, dlaczego w ten sposób mówisz. Zobaczyłaś mnie przypadkowo z kobietą i bezpodstawnie wysnuwasz niezrozumiałe wnioski. Zdaje się, że mieliśmy dzisiaj porozmawiać o innych, daleko poważniejszych sprawach. Całe święta myślałem o nas obojgu.

— Jakoś odeszła mi ochota na zasadniczą rozmowę. To wszystko nie ma sensu, Jerzy. Nawet nie proszę, żebyś usiadł, raczej pośpiesz się. Nie pozwól swojej znajomej długo czekać.

— Jesteś dziwna, sprawiasz mi naprawdę wielką przykrość. Myślałem, że w wigilię doszliśmy już do porozumienia. Czy uraziło cię to, że Nelly podwiozła mnie samochodem? Nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy. Dlaczego się na mnie gniewasz? Przyszedłem żeby usłyszeć twoją odpowiedź, a ty...

— Nie zwykłam załatwiać tak poważnych spraw na kolanie. Przecież wpadłeś tylko na chwilę, na pewno nie masz czasu. Piękna Nelly się niecierpliwi.

— Widzę, że rzeczywiście masz zły humor. Przyjdę więc kiedy indziej. Pamiętaj jednak: moja oferta jest nadal aktualna.

Zdaje się, że zrobiłam Jerzemu scenę zazdrości — stwierdziłam w duchu, kiedy wyszedł. Przynajmniej mógł to tak zrozumieć. Czuję się ogromnie głupio. Trzeba było po prostu zakomunikować mu, że nasze drogi rozeszły się definitywnie, raz na zawsze. Parę następnych godzin miotalam się w rozterce duchowej, czy istotnie postąpię słusznie, zrywając wszystkie więzy z Jerzym. W gruncie rzeczy okazałam się mięczakiem, pozbawionym silnej woli. Musiałam sobie jasno powiedzieć, że tego rodzaju okazja poprawy bytu nigdy mi się więcej nie zdarzy i prawdopodobnie będę żałować do końca swoich dni takiego niemądrego posunięcia, jakim jest zerwanie z Jerzym. W końcu doszłam do wniosku, że oprócz ponętnej wizji dobrobytu ofiarowanego przez Jerzego, łączyła nas kiedyś gorąca, choć szczeniacka miłość i że to ja mam do niego prawo nawet po tylu latach, a nie jakaś panna Nelly, czy Dolly z Singapuru.

Nawet nie spostrzegłam, kiedy nadeszła siódma wieczór, dopiero dzwonek u drzwi uświadomił mi upływ czasu. O tej porze umówiłam się z Renatą.

— Chce mi się strasznie jeść — oznajmiłam jej, zanim zdążyła zdjąć nowy kozuch, w którym wyglądała niesłychanie grubo. — Zaraz przygotuję kolację. Jerzy przyniósł mi koniak chyba wypijemy po kielichu. A może wolisz bułgarskie wino?

— Tak, raczej kieliszek wina — odparła i z hałasem wytarła nos, siadając przy stoliku, nakrytym przeze mnie serwetą. Szybko rozłożyłam talerze i sztucce, ustawiłam szklanecki do wina i nalałam wytrawnej „Sophi”. Oprócz trochę zeschniętego keksu, miałam jeszcze w lodówce resztki kurczaka i pasztet w puszcze. Renata jakaś osowiała przyglądała się moim czynnościom gospodarskim, nie usiłując nawet, wbrew swoim zwyczajom, pomóc mi przy przygotowaniach do kolacji. Widocznie jeszcze nie przyszła do siebie po moich zwierzeniach — pomyślałam. Jednak lęk przed samotnością potrafi być silniejszy, niż wszystkie inne uczucia.

— Zrobię herbatę — oświadczyłam, udając się do kuchni. Kiedy ustawiłam czajnik na gazie, mimo woli zerknęłam przez szparę w ścianie do pokoju. W wigilię, kiedy częstowałam kawą Jerzego, nie zasunęłam dokładnie okienka, przez które podawałam mu filiżankę. To co zobaczyłam sprawiło, że krew zastygła mi w żyłach, a serce zaczęło dudnić w piersiach na alarm. Renata sięgała właśnie do torebki, po czym błyskawicznym ruchem wysypała z małej fiolki jakiś proszek do mojego wina. Potem zastygła, jakby nigdy nic, na swoim miejscu.

Tylko spokojnie, nie okazywać zdenerwowania, niech się nie domyśla, że coś widziałam — tłumaczyłam sobie gorączkowo

— grunt to zimna krew. Łatwo powiedzieć, a trudniej wykonać. Tysiące myśli tłoczyło mi się do głowy, ręce dygotały ze zdenerwowania, a nogi trzęsły jak galareta. Wreszcie przezwyciężyłam strach, uruchomiłam magnetofon, stojący tuż przy ścianie i nawet z uśmiechem

na ustach ukazałam się Renacie.

— Napijemy się? — zapytała, unosząc szklaneczkę, a mnie się zdawało, że w jej oczach dostrzegam jakieś szatańskie błyski.

— Naturalnie, tylko przykręcę gaz, woda się gotuje — zlałam swoje wino i pomknęłam z powrotem do kuchni. Pośpiesznie wylałam je do zlewu, napełniłam filiżankę herbatą, ustawiłam na tacy razem z inną pustą szklaneczką, wyjętą gorączkowo z szafki i wróciłam do pokoju.

— Widzisz jaka ze mnie gapa, wypiałam sama wino, zupełnie odruchowo. To nic, drugi toast spełnimy razem. Proszę cię, częstuj się. Ten kurczak chyba jest jeszcze jadalny. Renata obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem, badając moją prawdomówność, ale uspokoila się widząc, że zachowuję się zupełnie normalnie.

— Smakowało ci wino? — zapytała.

— Tak „Sophia” to zupełnie niezła marka, nie uważasz? Uśmiechnęła się jakoś dziwnie, połową twarzy, która przybrała nagle nie znany mi, okrutny wyraz, jakbym miała przy sobie obcą osobę, widzianą po raz pierwszy w życiu.

— To dziwne, że ci smakowało — powiedziała głosem pełnym satysfakcji, o innym niż zwykle gardłowym brzmieniu — bo była w nim trucizna. Zaległo milczenie, Renata chciwie obserwowała mnie przez chwilę.

— Myślisz: biedne głupie Renacisko zwariowało, kłamie, żeby mnie nastraszyć. Ale to prawda, słyszysz? — podniosła głos. — Prawda! Ja ciebie otrulałam. Dawka trucizny była śmiertelna! Za chwilę poczujesz drętwienie nóg, potem rąk, gardła. Przestanieś mówić, słyszeć, widzieć, potem umrzesz. A ja będę na to patrzeć, tak jak patrzyłam na śmierć Mai. Nawet nie wiesz jaką mi to sprawi przyjemność.

— Ty naprawdę zwariowałaś — powiedziałam, żeby coś powiedzieć, choć czułam ciarki na plecach, mimo, iż nie połknęłam trucizny. — O, nie — cały czas obserwowała mnie z natężeniem. Spojrzała na zegarek. — Już ci

sztynnieją nogi, prawda?

Skinęłam głową, postanowiłam udawać, że zaczynam reagować na zatrucie. Taka gra stała się najbezpieczniejsza.

— Możesz się pomodlić, jeśli ci to odpowiada — zaśmiała się histerycznie. — A teraz słuchaj co ci powiem. Nie dam sobie po raz trzeci odebrać Jerzego, on zawsze należał do mnie, kochałam go i on mnie kochał, może ci się to wyda dziwne i niezrozumiałe, ale tak było naprawdę. Wtedy, w czasach studenckich, kiedy chodził z tobą, sypiał ze mną i obiecywał mi małżeństwo. Uległam mu na jego pierwsze skinienie. Mówił, że jestem jedyną kobietą, która mu fizycznie odpowiada. Potem, po waszym zerwaniu i ożenku z Mają, też wrócił do mnie. Do was mówił czułe słówka, a ja miałam go w łóżku i wiedziałam, że należy do mnie, tylko do mnie — zachłystywała się swoimi słowami, aż piana wystąpiła jej na usta. — Nazywałyście mnie głupią, niewydarzoną, traktowałyście jak ofiarę, na którą żaden mężczyzna nawet z łaski nie spojrzy. Zgadzałam się na tę rolę, a w duchu drwiłam z was, przez te wszystkie lata z was drwiłam. Nie wiedziałyście, że on cały czas kochał się ze mną, to wy okazałyście się nieszczęsnymi idiotkami, nie ja — przerwała i znów przyjrzała mi się badawczo, sprawdzając, czy trucizna prawidłowo działa. — Jak bardzo was nienawidziłam!

— To ty zabiłaś Maję — powiedziałam pozornie spokojnym głosem, choć lód ścisnął mi serce.

— Tak, ja — zachichotała — prawda, jak wszystko mądrze obmyśliłam? Wystrychnęłam na dudka milicję, absolutnie nikt mnie nie podejrzewał. Myślałaś, że zabójcą jest ten Hindus, latałaś za nim jak głupia.

— Ale dlaczego ją zabiłaś? Tyle lat po ich ślubie?

— Nie mogłam ścierpieć, jak się pyszni, rzuca pieniędzmi, chwali jego miłością, jak go zdradza. To ja powinnam mieć to wszystko, a nie ona. Nie była go warta, a on nigdy naprawdę jej nie kochał. — Musiała zginąć ta nędzna złodziejka.

— W jaki sposób ją zabiłaś?

— Zaspokoję twoją ciekawość i tak najdalej za pół godziny umrzesz. — Maja chorowała na zaburzenia hormonalne, prosiła żebym robiła jej zastrzyki, ale w tajemnicy przed wszystkimi, bo chciała uchodzić zawsze za okaz zdrowia. Wtedy, po brydzu, wróciłam do niej. Niepokoiła się, czy zastrzyk jej nie zaszkodzi po wypiciu większej ilości alkoholu. Zapewniałam, że nic jej się stanie i ostrzegałam, że nie trzeba przerywać kuracji. Wtedy wpuściłam jej do żyły powietrze. Wiedziałam, że powstanie zator naczyń krwionośnych, krew nie przepłynie i nie dotrze do serca. Wysłałam, kiedy zrobiła się sina i zaczęła tracić przytomność.

— Omyliłaś się w swoich rachubach, popełniłaś niepotrzebną zbrodnię. W tym czasie ona i Jerzy ze sobą zerwali.

— I tak się to jej należało za te wszystkie lata, które przeżyła z Jerzym.

Stanęła koło mnie, przyglądając mi się przenikliwie, potem obesła stół i ciężko usiadła na krześle. — A ty teraz pokrzyżowałaś mi plany. On z tobą chce się związać, a nie ze mną, kiedy nie ma już przeszkód, abyśmy się połączyli. Musisz zginać. Nie mogłabym patrzeć na wasze szczęście. Jeszcze możesz mówić? — zapytała, sondując mnie spojrzeniem. Potrząsnęłam niemrawo głową; na razie nie przychodziła mi żadna zbawcza myśl do głowy, w jaki sposób wyjść cało z tej opresji. Nie próbowałam rzucić się na nią, aby ją obezwładnić, gdyż prawdopodobnie nie dałabym jej rady, była wyższa i silniejsza.

Poza tym mogła mieć przy sobie kwas żrący do wypalenia oczu, albo inną piorunującą truciznę.

Tysiące pomysłów przelatywało mi przez myśl, ale nic z tego nie nadawało się do natychmiastowej realizacji. Po tej szalonej kobiecie wszystkiego można się było spodziewać. Tymczasem, sytuacja stawała się coraz groźniejsza. Za chwilę Renata zorientuje się, że trucizna nie skutkuje i przystąpi do ataku. Nagle odezwał się dzwonek, przerywając złowieszczą ciszę, która zapanowała po ostatnich jej słowach.

Zerwałam się jak smagnięta biczem i zanim Renata zdążyła oprzytomnieć ze zdziwienia wpuściłam do pokoju Jerzego. Wydał mi się w tym momencie zbawcą.

— Ratuj mnie! — krzyknęłam — Renata chce mnie zabić! To ona zamordowała Maję! Przed chwilą chciała mnie otruć! Na co czekasz, chwyć ją i nie pozwól się ruszać.

— Czyście powariowały obie? — zaczął, ale widok Renaty, która rzuciła się na mnie jak furia, uświadomił mu, że istotnie dzieje się tu coś niedobrego. Walczyła z jakąś dziką siłą i z obłędem w oczach. Chwyciła nóż ze stołu, widocznie dostała ostrego ataku szału. Wreszcie po paru minutach szamotaniny, Jerzy wykręcił jej ręce do tyłu i unieruchomił, a ja związałam je w przegubach sznurem od bielizny. Dla pewności spętałam też jej kostki.

— Czy zadzwonić po pogotowie? — spytał.

— Nie, najpierw muszę zawiadomić milicję — powiedziałam i wystukałam numer telefonu Zdzisława jeszcze drżącymi i prawie bezwładnymi palcami.

Rozdział XII

— Przyszedł jakiś facet z kwiatami — zakomunikowała mi pani Waleria Wiśniewska — Czy mam go wpuścić?

Od dziesięciu dni moja sąsiadka opiekowała się mną jak małym dzieckiem, gdyż po ostatnich przeżyciach, przesłuchaniach, wizjach lokalnych, rekonstrukcjach wydarzeń, zapadłam na jakąś dziwną chorobę o podłożu nerwowym, objawiającą się wysoką gorączką i bólami głowy, niemal jak Stefcia Rudecka z „Trędowatej”, na szczęście bez tragicznego finału.

Gdyby nie pomoc pani kapitanowej, jej nieustanna troska i macierzyńska opieka, nie wiem co by się ze mną stało. Dopiero teraz w biedzie przekonałam się, jaka z niej pocziwa dusza. Zapomniała o wszystkich swoich chorobach, urojonych i prawdziwych i z samarytańską pieczołowitością objęła ster rządów w moim gospodarstwie. Mało, że robiła mi zakupy, gotowała, sprzątała, to jeszcze karmiła jak niemowlę, przyjmowała telefo-

ny, korespondencję, odprowadzała od progu gości. Całe jej niewyżyte uczucia macierzyńskie znalazły ujście w czasie mojej choroby. Od czasu od czasu tylko narzekała na świat i ludzi, gderwała, że jej nie słucham, urągała, że zadałam się z samymi bandytami, a w ogóle to terroryzowała mnie swoimi zaleceniami i zachłanną dbałością o moje zdrowie. Listy wręczyła mi dopiero wtedy, kiedy uznała, iż nadaję się do kontaktu ze światem, jak gdyby najmniejsze wzruszenie mogło mnie zabić.

Gros listów stanowiły ponaglenia ze strony moich zleceniodawców: „Cepelii” i „Polskich Nagrań” z zagrożeniem zerwania umowy w razie niewywiązania się z zamówień w dodatkowo udzielonym mi terminie. Tylko jeden list napisany mocnym, męskim pismem, sprawił mi przyjemność i obudził we mnie chęć do życia i przezwyciężenia choroby.

— No więc jak? — pytała pani Wiśniewska. — Przyjmie go pani, czy mam powiedzieć, żeby sobie poszedł? — głos jej wyrwał mnie z rozważania o znikomości ludzkiego istnienia. Domyślałam się, kto to może być i zdecydowałam, raz na zawsze zamknąć pewien rozdział w historii mojego życia.

— Niech wejdzie — powiedziałam.

Jerzy Bożyniecki wsunął się do pokoju z nieswoim wyrazem twarzy. Niepewnie wręczył mi bukiet kwiatów i przystanął koło mojego łóżka bóleści. W związku z ostatnimi wypadkami musiał odłożyć na pewien czas wyjazd do Singapuru.

— Siadaj, czego tak dziwnie patrzysz?

— Chciałem zapytać, jak się czujesz. Bardzo się o ciebie niepokoiłem.

— Mimo wszystko jeszcze żyję—zaakcentowałam ostatnie słowo.

— Nie wiem jak cię mam przeprosić. Wszystko to moja wina.

— Ależ nie rób sobie niepotrzebnych wyrzutów. Jesteśmy kwita. Wprawdzie przez ciebie omal nie zostałam zamordowana, ale ty także uratowałeś mi życie. Gdybyś nie przyszedł, Renata na pewno wyprawiłaby mnie w taki czy

inny sposób na tamten świat. Nie dałabym jej sama rady. Wszystko przez kobiety, Jerzy... Stanowczo masz za duże powodzenie.

— To dobrze, że już ci wraca humor. Tak się o ciebie bałam...

— Kiedy wyjeżdżasz?

— Chyba w przyszłym tygodniu, przynajmniej tak wynioskowałam ze słów pułkownika Serwicza. Na razie nie będę potrzebny. Śledztwo zostało zamknięte.

— Życzę ci więc przyjemnej podróży.

Jerzy zwiesił głowę i uparcie przyglądał się deseniowi na dywanie. — A co będzie z nami, Sławo? Jak zdecydowałaś?

— Rozstaniemy się jak para dobrych znajomych. Od czasu do czasu napiszesz do mnie pocztówkę z pozdrowieniami z Singapuru.

— Ależ ja chcę, abyś była ze mną, wcale nie zrezygnowałam z naszej wspólnej przyszłości.

— Przestań się ośmieszać. Chyba nie sądzisz, że po tym co zaszło i co się wyjaśniło, mogłabym uwierzyć choćby jednemu twojemu słowu.

— Myślisz o tej sprawie z Renatą? To nie było zupełnie tak, jak sądzisz. W młodości popełnia się różne głupstwa.

— Za dużo tych głupstw wydarzyło się w twoim życiu i jak widać brzemienne w przykre konsekwencje. Obawiam się, że weszły ci w krew i towarzyszyć ci będą do końca życia.

— Renata to osoba nienormalna, o skrzywionej psychice. Nie powinnaś jej wierzyć. Żyła w urojonym świecie. Wyolbrzymiała sprawy, które nie miały znaczenia.

— Słuchaj Jerzy. Ona powiedziała mi wszystko i wiem, że to była prawda. Nie kłamie się w takich chwilach. Skończmy raz na zawsze z tą nieszczęsną historią. Nasze drogi rozeszły się bardzo dawno i lepiej dla mnie, że tak się stało. Przepraszam cię, ale boli mnie bardzo głowa. Żegnaj Jerzy.

Kiedy wyszedł, pani Waleria wkroczyła uroczyście z talerzem dymiącej zupy. Musiała trochę podsłuchać, bo zapytała z

przekąsem:

— A te kwiaty też wyrzucić?

— Nic, proszę je wstawić do wazonu.

— Jak pani chce. Zaraz zrobię pani okład na głowę. Znów wygląda pani jak śmierć angielska.

Po obiedzie niespodziewanie zasnęłam smacznie i krzepiąco. Wydawało mi się przez opary snu, że słyszę dźwięk telefonu, dzwonki do drzwi, ale nie chciało mi się otwierać oczu. Świadomość, że czuwa nade mną ta dobra kobiecina, działała na mnie lepiej od wszystkich uspokajających lekarstw. Obudziłam się kiedy poprawiała mi kołdrę.

— Znów przyszedł jakiś facet, mundurowy. Bardzo chce się z panią zobaczyć. Nie wiem co zrobić. Za dużo tych chłopów tu się kręci.

Usiadłam w pościeli zupełnie przytomnie. Resztki snu pierzchły błyskawicznie. Sięgnęłam po lusterko i przyczesalam włosy.

— Proszę go wpuścić — powiedziałam szeptem. Kapitan Zdzisław Jaremiak wszedł z pogodną, uśmiechniętą twarzą. Położył na mojej kołdrze bukietik fiołków. Uścisnął mi serdecznie obie ręce i usiadł swobodnie w fotelu.

— Przyszedłem ci powiedzieć, w imieniu pułkownika Serwicza i własnym, że spisałaś się znakomicie. Przyczyniłaś się nie tylko do ujęcia handlarzy narkotyków, ale i sprawcy morderstwa popełnionego na osobie Bożynieckiej.

— O mały włos, i w jednym i w drugim wypadku, nie przeplącałam udziału w tych działaniach własnym życiem. Chyba dostanę jakiś order od milicji.

— Niestety tak się złożyło, że życie twoje istotnie znalazło się w niebezpieczeństwie. Niewątpliwie stałaś się jedną z bohaterek dramatu.

— Nie wiem czy mam się z tego powodu cieszyć, czy smucić. Chyba powinnam popaść w skrajny pesymizm i stracić wiarę w człowieka. Najbliższe mi osoby — to kryminalistki, a jedna z nich okazała się pospolitą zbrodniarką. Zaspokój moją ciekawość i powiedz, czy

podejrzewaliście Renatę o morderstwo Mai?

— Nie wykluczaliśmy tej możliwości, ale równie dobrze sprawcą mogła być ona, jak i ktoś z tysiąca innych znajomych denatki. Morderstwo dokonane zostało z premedytacją, przy zachowaniu środków ostrożności oraz w sprzyjających dla zbrodniarki okolicznościach. Nikt jej nie widział wchodzącej ponownie do mieszkania Bożynieckiej owej nocy, ani później wychodzącej. Szczęście jej sprzyjało, wślizgnęła się i wymknęła niepostrzeżenie z lokalu na Wilczej. Nawet nie potrzebowała się obawiać, że zdradzą ją odciski palców, gdyż przecież tego wieczoru uczestniczyła w przyjęciu. Śmierć ofiary wyglądała na naturalną. Początkowo orzeczenie lekarskie brzmiało: zawał serca. Dopiero sekcja zwłok wykazała zaczopowanie naczyń krwionośnych, na skutek wprowadzenia powietrza za pomocą zastrzyku.

— Więc Renata popełniła zbrodnię doskonałą?

— Niemal. Zostawiła tylko jeden ślad, który wskazywał na obecność u Bożynieckiej kogoś, kto zrobił jej zastrzyk, a mianowicie na podłodze drobne okruchy szkła ampułki. Trudno było jednak akurat jej przypisać to działanie. Przeprowadzony wywiad środowiskowy dał bardzo pozytywne rezultaty. W pracy uchodziła za wzór sumienności i obowiązkowości. W najbliższym otoczeniu i w miejscu zamieszkania także nie szczędzono jej pochwał. Poza tym umiała świetnie ukrywać swoje prawdziwe uczucia pod maską zrozpaczonej i nieutulonej w żalu przyjaciółki.

— To znaczy, że gdybym nie wzbudziła w niej szaleńczego uczucia zazdrości, które znów pchnęło ją na drogę przestępstwa, zbrodnia mogłaby zostać nie wykryta?

— Tego nie powiedziałem, prawda wyszłaby na jaw i tak po jakimś czasie. Na szczęście pan Jerzy Bożyniecki ma tak niesłychane powodzenie u płci pięknej, że mimo woli przyczynił się do rozwiązania zagadki tego morderstwa.

— Na szczęście dla kogo? — podchwyciłam.

— Przepraszam, źle się wyraziłem. Ten człowiek stał się powodem obu zbrodni.

— Wiesz Zdzisławie — uśmiechnęłam się. — Tamtego

wieczoru, kiedy Maja urządziła brydża, byłam zazdrosna o ciebie choć nie do tego stopnia, żeby mogło się to stać przyczyną popełnienia morderstwa. Zachowywaliście się w sposób niesłychanie drażniący moją kobietą ambicję. Obrzucaliście się oboje takimi płomiennymi spojrzeniami, że ciarki chodziły mi po plecach na widok takiego wulkanu namiętności.

— Jesteś niemądra — roześmiał się kapitan Jaremiak. — Wiem, że żartujesz. Ta gra miała na celu zlikwidowanie szajki handlarzy narkotyków, a znajomość z Mają mogła mi to bardzo ułatwić. Sławo, jestem ci winien wyjaśnienie bardzo drażliwej natury. Na pewno czujesz żal do mnie, że zbliżyłem się do ciebie ze względu na Bożyniecką. Nie ukrywam, że i ty początkowo znajdowałaś się na liście podejrzanych o współudział w organizacji przestępczej, lecz trwało to bardzo krótko. Przyznaję, w pierwszej fazie naszych kontaktów interesowało mnie wyłącznie środowisko, w którym obracała się Maja od dawna podejrzana o prowadzenie podwójnego życia, ale wierz mi, potem zacząłem odczuwać prawdziwą przyjemność w obcowaniu z tobą. Z niecierpliwością oczekiwałem na nasze spotkania, stałaś mi się bliska i potrzebna.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że się we mnie zakochałeś?

— Niewiele brakowało, aby to nastąpiło. Jesteś świetnym kompanem i uroczą kobietą.

— A jednak kapitan Jaremiak wykazał odporność na moje wdzięki. Cóż robić, takie jest życie.

— Odpowiem ci na to uczciwie. Od roku jestem zaręczony i za dwa tygodnie się żenię.

— Moje gratulacje. Lepiej później niż wcale. Nie śmiem pytać, kto jest twoją wybranką.

— Wspaniała dziewczyna. Widziałaś ją niedawno. To sierżant Jadwiga Łabuniak. A ty jak zamierzasz ułożyć sobie życie? Przepraszam, że wtrącam się w twoje sprawy osobiste, ale upoważnia mnie do tego nasza przyjaźń zawarta w dość niekonwencjonalny sposób i chyba warta

kontynuowania.

— Uspokoję cię, nie wychodzę za mąż za Jerzego Bożynieckiego, ale po ostatnich wydarzeniach mam zamiar zmienić klimat i być może stan cywilny. Zbrzydło mi wdowieństwo. I jeszcze jedno. Czy wiesz, że figurowałeś między innymi domniemanymi sprawcami, na mojej prywatnej liście morderców Mai. Przez dłuższy czas cierpła mi skóra, na myśl, że flirtowałam ze zbrodniarzem i sadystą.

— A ja w głębi ducha obawiałem się, że będę musiał aresztować taką miłą i atrakcyjną babkę, jeżeli okaże się kryminalistką.

*

Zaraz po ślubie wybieramy się z Witoldem do Singapuru. Zarezerwował dwa miejsca w samolocie pół roku temu, po uruchomieniu bezpośredniej linii lotniczej Warszawa-Singapur. Twierdzi, że uczynił to już z myślą o mnie jako o towarzysze podróży. Ale czy można wierzyć mężczyznom?...

Cena zł 500,-

W tej samej chwili czyjeś silne ręce schwyciły mnie wpół, ktoś przygiął mnie do podłogi w ten sposób, że nie mogłam ruszyć głową i spojrzeć w górę. Druga para rąk błyskawicznie zdarła ze mnie futro. Potem wszystko przebiegało jak w gangsterskim filmie. Brutalna dłoń wepchnęła mi coś paskudnego do ust, uniemożliwiającego wydobyć głos z krtań, potworny ból przeszył moją czaszkę i ogarnął mnie mrok.